

KAMENIA

LUBLIN

28.II.1961

Nr 4 (218)

ROK XXVIII

CENA 2 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

W NUMERZE: Problemy techniczne lubelskiego przemysłu • Ośrodki współzycia społeczno-kulturalnego • Parańska bakalarka • Z historii kształcenia nauczycieli • „Male” czy żadne? • Chelmskie intermezzo • Arrasy w Lublinie • Przy ulicy Północnej • I in.

O PRACY I ZADANIACH LUBELSKIEGO OŚRODKA AKADEMICKIEGO

FRAGMENTY REFERATU I SEKRETARZA TOW. WŁADYSŁAWA KOZDRY NA PLENUM KW PZPR W DN. 18.II.61 W LUBLINIE

Po raz pierwszy nasza instancja partyjna poddaje ocenie na Plenum KW jedną z bardzo istotnych dziedzin życia województwa — pracę lubelskiego ośrodka szkolnictwa wyższego.

Podajemy ten problem z wielu względów.

Podajemy go przede wszystkim dlatego, że uczelnie nasze już dziś odgrywają w życiu naukowym, kulturalnym, społecznym i gospodarczym województwa wielką rolę, że z ich pracą jak najbardziej związane są perspektywy rozwoju województwa.

Rola i wpływ lubelskiego ośrodka szkół wyższych będą stale wrosły w całym rejonie południowo-wschodnich ziem naszego kraju, gdyż burzliwy rozwój tych ziem w najbliższych latach wymagać będzie coraz to bardziej kwalifikowanych kadr, fachowej rady i opinii przy podejmowaniu decyzji i ich realizacji.

Wzrasta również wkład lubelskich naukowców w rozwój nauki polskiej i ogólnoludzkiej i to jest druga przyczyna, dla której powinniśmy podnosić rangę społeczną naszych uczelni, otaczać jeszcze większym szacunkiem tych ludzi nauki, którzy swym autorytetem naukowym rozstrawiają imię pierwszego z powstałych w Polsce Ludowej ośrodków naukowych.

Dziś, po 16 latach władzy ludowej, Lublin stał się poważnym ośrodkiem akademickim, jednym z większych w Polsce i największym w południowo-wschodniej części kraju, odgrywając ważną rolę w ogólnokrajowym systemie szkolnictwa wyższego.

Dzisiaj w Lublinie pracują i rozwijają się z każdym dniem: Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej, Akademia Medyczna, Wyższa Szkoła Rolnicza, Wieczorowa Szkoła Inżynierska, Ekonomiczne Studium Zaoczne, Zaoczne Studium Wyższej Szkoły Nauk Społecznych oraz Administracyjne Studium przy UMCS.

Lubelskie uczelnie kształcą dziś specjalistów o bardzo szerokim wachlarzu — agronomów, lekarzy weterynarii, lekarzy medycyny i farmaceutów, inżynierów i ekonomistów, prawników, przyrodników i historyków.

Ilość zakładów naukowych w lubelskich uczelniach zwiększyła się z 44 w 1945 roku do 155 w 1960, a ilość samodzielnych pracowników nauki wzrosła w tym czasie z 43 do 152. Jeszcze bardziej dynamicznie rosła kadra pomocniczych pracowników nauki — z 61 do 705 w roku bieżącym. Jest to rozwój imponujący i nie spotykany dotąd w historii szkolnictwa wyższego.

Nasi lubelscy naukowcy napisali w tym okresie kilka tysięcy prac naukowych, podręczników i skryptów, stanowiących ważny wkład w rozwój nauki polskiej. W ostatnich latach wzrasta ilość prac naukowych napisanych przez młodych naukowców, przez adiunktów i asystentów, co świadczy o wzroście poziomu naukowego tej kadry, która w przyszłości kształtować będzie oblicze lubelskich uczelni.

Wiele prac naukowo-badawczych i popularno-naukowych rolnictwa wiąże się z potrzebami naszego województwa.

Duża ich część została już wykorzystana do potrzeb praktyki, chociaż nie w takim zakresie, jak na to pozwalają nasze warunki i jakie istnieją potrzeby.

Dlatego też nasze przesyła rad narodowych, instytucje, przedsiębiorstwa i organizacje, zwłaszcza rolnicze, winny dołożyć więcej wysiłku, by ściślej oprzeć swą działalność o możliwości, jakie stwarza współpraca z wyższymi uczelniami, by w praktycznym działaniu wykorzystywać w pełni wyniki badań naszych uczonych.

O rozwoju wyższych uczelni świadczą również wzrost własnych kadr naukowych — samodzielnych i pomocniczych pracowników naukowych.

Najlepsze wyniki w tym zakresie osiągnęły: Akademia Medyczna, gdzie wyrosło 30 samodzielnych pracowników nauki oraz Wyższa Szkoła Rolnicza, w której usamodzielnilo się 26 pracowników naukowych.

Obserwuje się również szybki rozwój młodej kadry naukowej, szczególnie w ostatnich 2 latach, kiedy to doktoraty uzyskało 62 pomocniczych pracowników nauki.

W rozwoju naukowym pomocniczych pracowników nauki widoczne jest przodownictwo członków partii — a więc kadry marksistowskiej. W latach 1959—1960 członkowie partii uzyskali 14 doktoratów, co stanowi 22 5/10 ogółu uzyskanych w uczelniach lubelskich stopni doktorskich.

(Dokończenie na str. 2)



Patrice Lumumba (z cyklu „Afryka walczą”). Rzeźbił młody artysta baszkirski Rumer Mohametszyn

Wpłacając kwotę 300 zł na Fundusz Stypendialny im. Patrice Lumumby Kolegium redakcyjne „Kamień” zwraca się z apelem do literatów lubelskich i do ogółu Czytelników pisma o składanie datków na ten cel do sekretariatu Redakcji — Lublin, ul. Graniczna 1-c.

TRZY LATA TEMU I DZIEŃ DZISIEJSZY

Postąpiłem jak ów młodszy radca prawny z powieści L. Karelina*, który przybywszy do nieznanego sobie powiatu rozpoczął swoją pracę od studiowania listów nadesłanych do prokuratury w ciągu wielu miesięcy. Tyle, że terenem nieznanym była dla mnie określona działalność rad narodowych, a zamiast listów studiowałem sprawozdanie Prez. WRN w Lublinie z realizacji wniosków i postulatów zgłoszonych przez wyborców w toku poprzedniej kampanii wyborczej. Młodszy radca prawny dzięki swej lekturze lepiej poznał powiat i pracę prokuratury, niż mógłby to uczynić wykorzystując dwadzieścia delegacji służbowych. Ja — poznałem swój teren na tyle, by znaleźć zachętę do zabrania głosu w trwającej obecnie dyskusji przedwyborczej.

1
Odsyłam wszystkich zainteresowanych (szczególnie inspektorów szkolnych i nauczycieli) do dwóch niezmiernie ważnych dokumentów: relacji z tzw. Sejmu Nauczycielskiego w 1919 roku i sprawozdania ze Zjazdu Oświatowego, odbytego w Łodzi w 1945 roku. Dopiero w ich świetle dzisiejsze osiągnięcia rad narodowych w dziedzinie oświaty stają się w pełni wyraziste. Oczywiście mówiąc o dniu dzisiejszym mam na myśli ubiegłe szesnastolecie. Będzie jednak nie od rzeczy nadmienić, że ostatnia kadencja rad zasługuje na specjalną uwagę. Wynika to przede wszystkim z procesu decentralizacji, zapoczątkowanego uchwałami VIII, a zwłaszcza IX Plenum KC PZPR z maja 1957 roku, a także ustawy o radach narodowych ze stycznia 1958 r., która zakłada, że rady kierują na swoim terenie działalnością gospodarczą, społeczną i kulturalną i że należą do nich wszystkie sprawy z zakresu władzy i administracji państwowej nie zastrzeżone na rzecz innych organów.

W toku decentralizacji niektóre szkoły zawodowe dawniej podległe DOSZ przeszły pod kierownictwo WRN. Rady narodowe przejęły szkoły rolnicze, zaawansowane jest przejmowanie szkół i techników zawodowych. Do kompetencji powiatowych rad narodowych należy budownictwo szkół podstawowych i przedszkoli, one kierują

bibliotekami powiatowymi i gromadzkimi. Również rady gromadzkie zbliżyły się do szkół i udzielają im większej pomocy. Przejęły one obsługę gospodarczą szkół podstawowych i przedszkoli. Usamodzielnienie rad w dziedzinie oświaty jest więc daleko zaawansowane. Obok korzyści wypływających z ich gospodarskiej troski przyniosło ono większe zainteresowanie społeczeństwa, co z kolei znalazło swój wyraz w czynach społecznych.

Składając sprawozdanie z działalności WRN w Lublinie przewodniczący Prezydium mgr Paweł Dąbek mówił:

„Dzięki społecznym czynom największe efekty gospodarcze uzyskane zostały w zakresie budowy szkół. W latach 1958—1960 oddano do użytku 179 szkół o 773 izbach lekcyjnych i 721 mieszkańach dla nauczycieli. 113 szkół wybudowanych zostało czynami społecznymi. Wybudowano także 31 szkół-pomników Tysiąclecia. Uzyskanie tak poważnych efektów było możliwe dzięki społecznemu funduszowi budowy szkół, przy pomocy którego nastąpiło bardziej wydajne finansowanie inwestycji szkolnych.

Wskutek stale wzrastającego wsiłku rad narodowych fundusz ten staje się coraz poważniejszym źródłem finansowym o specjalnym prze-

(Dokończenie na str. 2)

(Dokończenie ze str. 1)

Należy ocenić to jako objaw bardzo pozytywny, gdyż w przyszłości oni właśnie, już jako samodzielni pracownicy nauki, obejmą ster nauczania i wychowania.

W chwili powstania UMCS dysponował lokalami o ogólnej powierzchni 1,928 m kw. i kubaturze 6,363 m sześć. Z przestrzeni tej korzystało 5 fakultetów i 44 zakłady naukowe. Obecnie ma on oprócz pomieszczeń adaptowanych 3 nowe obiekty całkowicie dostosowane do potrzeb nauki. Rozbudowała się także WSR i Akademia Medyczna.

Dziś tylko jeden gmach Farmacji posiada kubaturę 11,444 m sześć., a Klinika Okulistyczna 12 tys. m sześć.

Wybudowano też 5 domów akademickich, w których mieszka ponad 2.500 osób, czyli 51% ogółu studentów.

Młodzież studiująca otrzymuje niezwykle dużą pomoc państwa i w innych formach.

Ze stypendium korzysta w bieżącym roku akademickim 65,8% studiujących, a suma wypłaconych stypendiów i zasiłków w ubiegłym roku budżetowym wyniosła ponad 15,5 mln. złotych. 66% młodzieży korzysta z kart stołowych, a łącznie z różnych form pomocy państwa korzysta 90% młodzieży studiującej na naszych uczelniach.

Niemal jest dorobek lubelskich uczelni mierzony ilością wykształconych specjalistów różnych dziedzin. Lubelskie uczelnie ukończyło 8.354 absolwentów, z tego 4.138 UMCS, 2.861 Akademii Medycznej i 1.355 WSR. Ponad 100 absolwentów opuściło Wieczorową Szkołę Inżynierską.

Blisko 8,5 tys. absolwentów naszych wyższych uczelni, to poważna armia ludzi z wyższym wykształceniem zawodowym, która zasila rolnictwo,

przemysł, oświatę, kulturę, służbę zdrowia, administrację państwową i wymiar sprawiedliwości nie tylko województwa lubelskiego, ale i innych województw.

Uważamy, że mimo ogólnie trudnych warunków lokalowych Lublina, możliwy i powinniśmy jeszcze więcej pomagać uczelniom w łagodzeniu tych trudności, zanim nie rozwiążemy ich radykalnie przez nowe inwestycje.

Przewiduje to w dużej części nowy plan 5-letni. W UMCS w 5-lacie oddany zostanie do użytku gmach Biologii, dom społeczno-usługowy dla studentów oraz dom mieszkalny dla pracowników nauki. Rozpoczną się budowy gmachu Humanistyki, 2 domów studenckich i domu mieszkalnego dla pracowników.

Akademia Medyczna w najbliższych trzech latach uzyska znajdująca się w budowie: zespół kliniczny „A”, pomieszczenia dla zakładów anatomii patologicznej i medycyny sądowej oraz gmach dla zakładów teoretycznych.

Obok tych inwestycji Akademia Medyczna posiada zatwierdzone do budowy w najbliższym 5-leciu: dom awaryjny, hotel dla pielęgniarek oraz dom studencki.

Wyższa Szkoła Rolnicza, która w ostatnim okresie otrzymała nowe obiekty, ubiega się o umieszczenie w planie drugiego gmachu Agrotechniki.

Inwestycje te nie zmniejszają jednak całkowicie kłopotów lokalowych wyższych uczelni.

Jest więc niezbędne, by władze miejskie w porozumieniu z uczelniami opracowały plan pomocy uczelniom w rozwiązywaniu ich trudności mieszkaniowych. Najbliższa 5-lata winna być tą, w której usunięte będą nabrałymi bólami mieszkaniowymi naszej kadry naukowej.

Jak przedstawiają się nasze potrzeby kadrowe w najbliższym 5-leciu oraz możliwości ich zaspokojenia?

Potrzeby te zasadniczo uwzględnia plan dalszego rozwoju lubelskich uczelni. Rozwój ten będzie szedł w kierunku tworzenia nowych jednostek organizacyjnych — sekcji, specjalności i zakładów naukowych, jak też w kierunku tworzenia lepszych warunków pracy istniejącym zakładom naukowym.

Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej przede wszystkim rozbudowuje Wydział Humanistyczny. Powstają takie kierunki studiów, jak rusycystyka, romanistyka, psychologia oraz filologia niemiecka lub angielska. Powstają nowe zakłady na sekcji mikrobiologii i geografii. Przy Wydziale Matematyczno-Fizyko-Chemicznym przewiduje się utworzenie Instytutu Matematycznego oraz rozbudowę istniejącej pracowni badań jądrowych, bardzo istotne znaczenie praktyczne będzie miała rozbudowa zakładów chemii.

Rozwój Akademii Medycznej będzie szedł w kierunku tworzenia nowych katedr klinicznych, jak II Katedry Fediatrii, Katedry Neurochirurgii. Szczególny nacisk będzie położony na stworzenie jak najlepszych warunków do badań naukowych. W tym celu zostanie uruchomiona pracownia mikrorepektu elektronowego, który już posiada Akademia Medyczna.

Drugim poważnym zamierzeniem Akademii Medycznej jest utworzenie nowoczesnej pracowni izotopowej dla celów klinik leczniczych i naukowych.

Biorąc pod uwagę potrzeby naszego rolnictwa Wyższa Szkoła Rolnicza zamierza utworzyć na Wydziale Rolniczym Sekcję Mechanizacji Rolnictwa, a w perspektywie zorganizować Wydział Mechanizacji Rolnictwa, ponadto

powstanie sekcja ogrodnictwa i melioracyjna.

W planie 5-letnim przewiduje się dalszy wzrost młodzieży studiującej na wyższych uczelniach. Ilość młodzieży studiującej na UMCS wzrosła z 1.980 obecnie do 2.680 w 1965 roku, tj. o około 700 osób. W Wyższej Szkole Rolniczej studiuje obecnie 1.114 studentów, w roku 1965 bez planowanego Wydziału Mechanizacji Rolnictwa liczba studentów wzrosła do 1.300 (o 186 osób). W Akademii Medycznej nie przewiduje się zwiększenia liczby studentów.

Przewidujemy, że do końca 5-latkę w województwie ilość pracowników z wyższym wykształceniem winna wzrosnąć z 10.670 zatrudnionych obecnie, do 18.700 w końcu 1965 r., to znaczy o ponad 8.000 osób.

Kadry te winniśmy otrzymać przede wszystkim z naszych lubelskich uczelni, specjaliści zaś, których nasze uczelnie nie przygotowały, przyjdą z innych uczelni w kraju i o tym winniśmy już teraz pamiętać w naszej polityce fundowania stypendiów.

Mamy ofiarne, dobre kadry naukowców w naszych uczelniach, z pełnym zaufaniem oddajemy im do wykształcenia i wychowania naszą młodzież.

Rozwijają się i coraz lepiej pracują organizacje partyjne i młodzieżowe w uczelniach.

Uczelnie dysponują poważną i ciągle rozwijającą się bazą naukowo-materialną.

Dysponujemy więc wszystkimi warunkami ku temu, by wykształcić specjalistów o wysokich kwalifikacjach zawodowych i społecznych, którzy swoją pracą, wspartą doświadczeniem robotników i chłopów, mogą wiele zdziałać dla naszego województwa, dla polepszenia życia jego mieszkańców, dla naszej Ojczyzny, dla pokoju i socjalizmu.

TRZY LATA TEMU i DZIEŃ DZISIEJSZY

(Dokończenie ze str. 1)

znaczeniu. Wskazuje na to wzrost wpływów z 35,451 tys. zł w 1959 roku do 58,724 tys. zł w roku 1960. W wyniku tych osiągnięć w dziedzinie budownictwa szkolnego zniknęła na Lubelszczyźnie obszar bezszkolny.

Nieprzypadkowo odsyłałem zainteresowanych do relacji z dwóch niezmiernie ważnych w dziejach polskiej oświaty zjazdów. Tylko ten, kto pamięta zawartą w nich tęsknotę za powszechnością nauczania, zrozumie, jaki ogromny krok naprzód uczyniliśmy.

Osiągnięć tych nie może zaćmić fakt, że mamy jeszcze wiele do zrobienia. W dalszym ciągu poza szkołą podstawową znajduje się 6,400 dzieci w wieku szkolnym, szwankuje dokształcanie młodzieży nie posiadającej pełnego wykształcenia podstawowego, znaleźć można liczne przykłady braku dostatecznej troski gromadzkich rad narodowych o szkoły. Lecz zestawienie aktywów i pasywów przemawia na naszą korzyść, a założenia obecnego programu wyborczego napawają otuchą.

Nakłady inwestycyjne na oświatę (bez czynów społecznych) wyniosły w latach 1961—1965 ponad 970 milionów złotych. Przewiduje się budowę około 1.700 izb lekcyjnych. Są to wysokie cyfry, a może je jeszcze pomnożyć wysiłek społeczeństwa.

2

Obecnie działają na Lubelszczyźnie 424 świetlice wiejskie i małomiasteczkowe. Podkreślam „działają” w odróżnieniu od używanego dawniej słowa „istnieją”. Te „istniejące” rozpadły się parę lat temu i jak słusznie twierdzą niektórzy, nie ma powodu ich żałować. W działaniu obecnych świetlic jest niemalą zasługą rad narodowych. Wysiłki ich zmierzają w trzech podstawowych kierunkach: zapewnienia bazy materialnej dla ruchu kulturalnego, przygotowania odpowiedniej kadry wykwalifikowanych działaczy kulturalnych i wreszcie ustalenia najlepszego programu i form działalności kulturalnej.

Jeśli chodzi o pierwszy kierunek, wymienić należy oddanie do użytku Powiatowego Domu Kultury w Janowie Lubelskim i budowę podobnych domów w Bełżycach, Bychawie, Tomaszowie i Ostrowie Lubelskim. Wybudowane zostały także świetlice w Hucie (pow. chełmski), Kunikach (po-

wiat tomaszowski) oraz przygotowane lokale dla kin w Żalinie i Majdanie Nowym. Wszystkie te obiekty zbudowane zostały ze środków inwestycyjnych rad narodowych.

Założenia programu wyborczego Frontu Jedności Narodu na najbliższe lata przewidują dalsze nakiady inwestycyjne. Poszerzona zostanie powierzchnia Muzeum na Zamku, zakończy się budowę kin w Lublinie i Puławach oraz szkoły plastycznej w Nałęczowie. W sferze projektów jest budowa teatru w Lublinie, renowacja budynku Państwowego Teatru im. Osterwy i Filharmonii. Rozbudowana zostanie Wojewódzka i Miejska Biblioteka im. Łopacińskiego. Wysokie kwoty przeznaczone będą na renowację zabytków architektonicznych w Radzynie, Krylowie i Janowcu nad Wisłą.

Potrzeby Lubelszczyzny w zakresie przygotowania bazy dla działalności kulturalnej są szczególnie duże. Nie zaliczamy ich planowane nakłady inwestycyjne. Winna tu współdziałać inicjatywa społeczna. Już w minionej kadencji rad narodowych powstało około 150 społecznych komitetów budowy świetlic i domów ludowych. Sa wśród nich takie, które działają na zasadzie: „byłe zacząć — państwo dokończy”, lecz większość prowadzi ożywioną działalność i konsekwentnie zmierza do celu.

Podjęty został duży wysiłek organizacyjny i finansowy w celu zapewnienia placówkom kulturalnym niezbędnego sprzętu. Generalną zasadą stało się jednak stosowanie dopłat od 20 do 50 proc. ceny sprzętu zakupowanego przez świetlicę ze środków własnych.

Dla koordynacji działalności kulturalnej w województwie powołana została Komisja Koordynacyjna, w skład której weszli przedstawiciele instytucji kulturalnych, organizacji politycznych, młodzieżowych i społecznych. Ta właśnie komisja ustalała dwa następne kierunki działania.

Sprawozdawczo odnotować trzeba wzrost ilości bibliotek do 414, księgozbioru o 19 proc. i czytelników o 2 proc.

3

Przedstawiłem uważnie sprawozdanie z realizacji postulatów zgłoszonych przez wyborców w toku poprzedniej kampanii wyborczej oraz spr-

wozanie z działalności rad narodowych, w części dotyczącej spraw oświaty i kultury. Stwierdzam, że postulaty zostały zdystansowane. Praca rad, ich dorobek wybiegł daleko w przód. I jeszcze jedno: postulaty z reguły dotyczyły budowy szkół, świetlic, domów kultury. Innymi słowy były to postulaty o charakterze konsumpcyjnym. Tak było w toku poprzedniej kampanii wyborczej.

Komitet Wojewódzki Frontu Jedności Narodu przedstawił nam obecnie swój program wyborczy. Niemalże sumy przewidziane zostały na budownictwo szkolne, skromniej wyglądają zamierzenia inwestycyjne o charakterze kulturalnym. Lecz przecież przy obecnej jawności życia gospodarczego wiemy wszyscy, na co nas stać. Inne

więc powinny być nasze postulaty niż trzy lata temu. Program wyborczy FJN nie wyczerpuje wcale naszych możliwości. Znaleźć sposoby na rozszerzenie tego programu w toku dyskusji przedwyborczej to ważne zadanie.

Na zakończenie: Tylko nieliczne postulaty sprzed trzech lat dotyczyły lepszego wykorzystania istniejącej bazy dla działalności oświatowo-kulturalnej. A przecież kryją się w tym nie mniejsze możliwości, niż we wzbogaceniu nakładów państwowych społecznym wysiłkiem.

* L. Karelin — Młodszy radca prawni — wyd. ros.

AZL

POTEŻNA batalia prowadzona od pewnego czasu w naszym kraju o unowocześnienie i polepszenie metod produkcyjnych w przemyśle — nie jest wynikiem ani mody, ani też ambicji poszczególnych jednostek. Zarówno uchwały V Plenum KC PZPR, jak ich realizacja, wynikają z istotnych potrzeb naszej gospodarki. Po okresie intensywnej budowy i rozbudowy przemysłu w sensie nowych inwestycji, kiedy najważniejszą sprawą było stworzenie możliwie największej „przestrzeni produkcyjnej”, przeszliśmy obecnie w stadium pełnego wykorzystania tych wszystkich stanowisk pracy, które już mamy. Nie oznacza to, byśmy wstrzymali dalszą rozbudowę przemysłu, takie posunięcie zamieszłoby się w najbliższej przyszłości. Najpoważniejszym jednak czynnikiem decydującym w dużej mierze o wykonaniu planu wzrostu produkcji w bieżącej pięcioletce jest unowocześnienie metod pracy i pełne wykorzystanie maszyn i urządzeń już posiadanych oraz wymiana starych na nowe, bardziej wydajne.

Pod tym lapidarnym stwierdzeniem kryje się olbrzymia praca prowadzona od pewnego czasu we wszystkich przedsiębiorstwach przemysłowych. Szczególnie w warunkach województwa lubelskiego, gdzie istnieje kilka dużych fabryk nowo wzniesionych, a zatem bez tradycji, niekiedy z niesprecyzowanym do końca profilem produkcyjnym, oraz szeregi drobnych przedsiębiorstw, pozostałości z okresu międzywojennego o starym parku maszynowym nie przystosowanym do obecnych potrzeb, — uporządkowanie gospodarki w zakładach napotyka na pewne trudności.

Wstępny niejako krokiem wybrnięcia z dotychczasowego chaosu organi-

PROBLEMY TECHNICZNE LUBELSKIEGO PRZEMYSŁU

JÓZEF LIS

zacyjnego i technologicznego jest wprowadzenie tzw. norm technicznie uzasadnionych. Za tym niewątpliwie brzmiałym terminem kryje się właściwie całokształt gospodarki przedsiębiorstwa: od zakresu obowiązków i uprawnień przywiązanych do poszczególnych stanowisk pracy, poprzez normy czasowe dla określonych operacji, konstrukcję i technologiczne detale oraz gotowych wyrobów — aż po pracę działów pomocniczych. Stąd też proces przygotowywania do wprowadzenia owych norm w wielu przedsiębiorstwach przedłuża się, jakkolwiek prace w tym zakresie prowadzone są na ogół bardzo intensywnie. Do chwili obecnej na terenie naszego województwa jedynie Kraśnicka Fabryka Wyrobów Metalowych wprowadziła już normy techniczne, resztą jako zakład eksperymentalny. Zapadła już decyzja o przejściu Lubelskiej Fabryki Maszyn Rolniczych na normy techniczne uzasadnione. Również Fabryka Samochodów Ciężarowych w Lublinie oraz pozostałe zakłady przemysłu maszynowego jeszcze w pierw-

(Dokończenie na str. 11)

TRUDNO mi dzisiaj odtworzyć trochę zatarte biegiem czasu wspomnienie pewnego uroczystego dnia, gdy w lecie lub jesienią 1930 roku odwiedziła nas w naszym skromnym mieszkaniu w Jaszczowie koło Lublina pani Janina Kraków. Daty nie potrafię ściśle określić, gdyż nie dochowały się, niestety, w domowych papierach listy lub notatki, które by pomogły ustalić ją co do dnia i miesiąca. Pamiętam jednak dobrze, że przed wizytą Matka moja przykazywała mi z

PARAŃSKA BAKALARKA

ZOFIA MATYASZEWSKA

przejęciem i jakby z jakąś dumą, abym zachowywała się ładnie, bo gość to niepospolity, kobieta wielkich zasług, o której pamiętać będzie historia. Nie wiele mi to co prawda powiedziało, ponieważ z racji wieku pojęcie historycznych zasług nie miało wówczas dla mnie żadnej określonej treści. W każdym bądź razie niecierpliwie — jak zresztą wszyscy w domu — oczekiwałam momentu przybycia pani Kraków. Nie mogłam też wtedy przypuszczać, że kiedyś w przyszłości zetknę się znów z tym nazwiskiem i dowiem czegoś bliższego o życiu tej rzeczywiście niecodziennej postaci.

Jak wyglądała? Pozostała w pamięci obraz starszej siwej pani — miała wtedy blisko osiemdziesiąt lat — raczej chyba niewysokiej, o bardzo żywym, ostrym spojrzeniu i ujmującym młodym uśmiechu, który tak zaskakująco harmonizował z bielą Jej włosów. O czym się mówiło, już sobie nie przypominam — wiem tylko, że była to prawdopodobnie jedyna Jej wizyta w naszym domu. Często natomiast odwiedzała ją mój niezjący już brat, Tadeusz, którego zapewne przedstawił pani Kraków, jako szkolnego kolegę, pan Gustaw Trzebiński (w r. 1929 p. Kraków po powrocie z Brazylii zamieszkała w Jaszczowie u pp. Trzebińskich). Znajomość ta przetrwała przez parę następnych lat, właściwie aż do Jej tragicznej śmierci w roku 1935.

Już w roku 1931 przeniosła się pani Kraków na Pomorze, do Chełmna nad Wisłą. Z tego okresu zachowały się egzemplarze pism francuskich i polskich wydawanych w Brazylii i Stanach Zjednoczonych, które przysyłała bratu — oraz jeden dłuższy list z 25 kwietnia 1933 r. Korespondowała też i w inny, oryginalny sposób — mianowicie pisywała na marginesach gazet, w których ponadto podkreślała ważniejsze wiadomości i opatrywała je uwagami. Poza tym mam jeszcze książkę polskiego pisarza przebywającego dotychczas w Brazylii, Władysława Wójcika, z serdeczną dedykacją dla p. Kraków i Jej dedykacją dla mego brata, datowaną w Chełmnie 23 lutego 1934 roku. Książka nosi tytuł „Zemsta Indianina. Zagląmbate”. Nowele brazylijskie, a wydawała ją „Polska Prawda” w Kurytybie (Brazylia) w r. 1931. Na kilkunastu kartkach są własnoręczne dopiski pani Kraków, wyjaśniające np. znaczenie słów portugalskich lub realia brazylijskie.

Gdyby ktoś podjął się napisania ilustrowanej biografii Janiny Kraków — „parańskiej bakalarki”, jak się sama nazywała — musiałby przewertować masę czasopism, pamiętników, książek o emigracji polskiej we Francji i w Brazylii, pism polskich w Brazylii, sięgnąć do wspomnień żyjących jeszcze polskich emigrantów w Paranie, którzy ją pamiętają — zebrałby doskonały materiał do pasjonującej opowieści. Bo czyż nie jest niezwykle życie tej kobiety? Pochodziła z zamożnej rodziny ziemlańskiej, posiadającej znaczne dobra (klucz Poniatów w Mławskiem i majątki w Prusach Wschodnich, dziedziczącej tereny na których leży miasto Kutno); wychowała się w domu, oddana na dwór carski między damy dworu — zrywa z rodziną z racji radykalnych przekonań, poślubia wracającego z zesłania powstanie 1863 roku. Wyjazd z mężem do Francji i długoletni, bo trwający prawdopodobnie od roku ok. 1875 do ok. 1903 lub 1904 pobyt w Paryżu otwiera nowy okres w Jej życiu poświęcony działalności społecznej,



Spotkanie działaczy regionalnych z przedstawicielami Egzekutywy KW PZPR. Na zdjęciu od lewej: czł. Egzekutywy tow. tow. R. Wójcik, J. Parol, przew. PWRN mgr Paweł Dąbek, przedst. ZO ZNP J. Steliga, przedst. Min. Kultury i Sztuki Janina Okuniewicz, kier. Wydz. Kultury PWRN E. Nadulski, przew. Lubuskiego T-wa Kult. W. Sauter.

KONFERENCJA działaczy stowarzyszeń regionalnych i lokalnych zorganizowana przez Wydział Kultury Prezydium WRN jest wyrazem doceniania przez władzę społecznej formy działania. Doceniają ją również władze partyjne, dając konsekwentnie do stworzenia coraz lepszych warunków dla wielostronnego rozwoju społecznej inicjatywy kulturalno-oświatowej, udzielając jej poparcia i pomocy w realizacji szerszych zamierzeń. Wspólną naszą troską jest przyspieszenie procesu włączenia się ośrodków regionalnych w nurt ogólnych przeobrażeń kraju we wszystkich dziedzinach jego życia.

Idea działania poprzez stowarzyszenia i stowarzyszenia sięga wieloletnich tradycji i doświadczeń wyrzniętych z postępowego ruchu społecznego XIX i początku wieku XX. Różnorodnie były formy ich działania — większość realizuje postępowy program nie zacieśniając go do ochrony i zachowania tradycji co byłoby niestosowne. Siła i możliwość rozwoju stowarzyszeń jest całkowicie uzależniona od realizacji współczesnych aktualnych potrzeb środowiska, działalność w obecnych stosunkach społeczno-ekonomicznych i kulturalnych nie może pozostawać na uboczu ogólnego programu państwowego.

Obok pielęgnowania tradycji regionu i współczesnym życiu nie mniej ważną jest czynne oddziaływanie na procesy integracji społecznej i kulturalnej na powstawanie środowisk współzycia społeczno-kulturalnego, lecz najważniejszym aspektem działania stowarzyszeń winno być kształtowanie aktywnej postawy obywateli wobec problemów ekonomicznych, społecznych i kulturalnych środowiska i kraju. Niezależnie od różnicy kierunków form i intensywności działania poszczególnych stowarzyszeń ten właśnie aspekt winien być wspólny dla wszystkich, gdyż w praktyce oznacza on realizację programu jedności narodu. Skuteczność społecznego ruchu kulturalnego zależy od tego, w jakim stopniu stanowi on o postępie i przyszłości, w jakiej mierze stanowi pomost od przeszłości przez teraźniejszość — do przyszłości.

opieki nad powstańcami 1863 r., organizacji pomocy dla Polaków we Francji. Pionierska działalność wśród emigracji polskiej w Brazylii, założenie pierwszej polskiej szkoły, wszechstronna działalność oświatowa i kulturalna trwale zapisała się w dziejach szkolnictwa naszego w Brazylii. W czasie pierwszej wojny światowej Janina Kraków organizuje grupę młodzieży, która wyjeżdża do Polski, aby wstąpić do Legionów i walczyć o niepodległość. Przez całe życie jest czynna, odznacza się dużymi zdolnościami organizacyjnymi, inicjatywą, nieustanną dzielnością życiową dla ludzi, która nie opuszcza jej nigdy i wyraża się w bardzo różnorodnych formach, do ostatnich lat utrzymuje kontakty ze swymi dawnymi i nowymi znajomymi i przyjaciółmi, nie szczędząc swej rady, pomocy, dobrego słowa. Przyzywczajona do samodzielnosci i decydowania o własnym losie, nie chciała mimo usilnych starań rodziny korzystać z jej pomocy, przywykły do odmiennego trybu życia, od dawna ustalonego.

O znaczeniu ośrodków współzycia społeczno- kulturalnego

EDWARD NADULSKI

(Fragmenty przemówienia
wstępnego na Konferencji)

Lubelszczyzna posiada duże tradycje społecznych form działania kulturalnego. Okres wojenny osłabił znacznie tę działalność; okres powojenny był okresem skupienia wszystkich sił politycznych i ekonomicznych w umacnianiu władzy ludowej. W latach obecnych obserwujemy ogromne wzmożenie działalności kulturalnej. Na terenie województwa lubelskiego działa obecnie 14 stowarzyszeń regionalnych, 20 oddziałów stowarzyszeń i stowarzyszeń ogólnopolskich oraz 19 klubów. Stopień ich rozwoju zależy od stopnia aktywności osób kierujących ich działalnością i od możliwości środowiska, a przede wszystkim od osobistego zaangażowania się każdego działacza, członka stowarzyszenia, oraz przewyciężenia postawy nieufności i zwątpienia.

Niektóre ze stowarzyszeń zdobyły sobie wielki autorytet; mają znaczne osiągnięcia w dziedzinie organizowania i aktywizowania miejscowego społeczeństwa.

Można tu wymienić Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Łukowskiej. Istnieje ono od 3 lat. Członkowie tego Towarzystwa prowadzą na terenie swego miasta ciekawą i bardzo pożyteczną akcję odczytową w zakresie tematyki historycznej, kulturalnej i gospodarczej. Organizują wystawy plastyczne,

Uważała się za socjalistkę, odrzucała wszelkie religie, twierdziła, że „wyścisz się, aby człowiek był wierny maksymie „szanuj siebie”, aby nie uczynić nic, co by wykraczało poza kodeksy i normy współzycia ludzkiego”. Szkoła Jej w Paranie — to szkoła świecka, co w tamtych czasach nie stanowiło na pewno powodu, aby ją chwalać za taki właśnie kierunek nauczania. W książce Ludwika Włodka „Polskie kolonie rolnicze w Paranie” (Warszawa 1910) na stronie 84 w rozdziale „Stan ekonomiczno-kulturalny kolonii polskich” czytamy następujący passus, bardzo charakterystyczny:

„Pani Janina Krakowska, wdowa po znanym i zasłużonym działaczu emigracyjnym z Paryża, prowadzi tu szkołę bezpłatną, w której uczy się około trzydziestu dzieci. W ładnym i wesółym lokalu pełno wszelkiego rodzaju pomocy naukowych, co od razu wzbudza zaufanie do
(Dokończenie na str. 10)

sesje naukowe, wycieczki turystyczno-krajoznawcze. Opracowano i wydano monografię o Ziemi Łukowskiej. Zbiórka się eksponaty do Muzeum. Z inicjatywą Towarzystwa Łukowskiego w bieżącym roku otwarte zostanie Muzeum Regionalne.

Towarzystwo Lubartowskie, poza upowazecznieniem wiedzy o Ziemi Lubartowskiej, gromadzeniem zbiorów do przyszłego Muzeum, poszczycić się może wartościowym wydawnictwem regionalnym ukazującym się pod nazwą „Jednodniówka Lubartowska”. W wydawnictwie tym publikowane są najnowsze wiadomości z dziedziny prac badawczych regionu, historii kultury oraz współczesnego życia gospodarczego i kulturalno-oświatowego. Towarzystwo to ma poważne osiągnięcia na odcinku rozbudzenia w miejscowym społeczeństwie i specjalnie wśród młodzieży szkolnej zainteresowań regionalnych. Organizuje m. in. wystawy twórczości ludowej i różne imprezy kulturalne.

Towarzystwo Miłośników Ziemi Krasnostawskiej pracuje od 1957 r. W tym okresie potrafiło zgromadzić setki nadszyczących ciekawych, oryginalnych i wartościowych eksponatów, dokumentów historycznych itp. Przewadziła też akcje odczytowe, czynnie włączyła się w przygotowaniu obchodów Milenium na Lubelszczyźnie. Przykładem nadszyczących wartościowej działalności tego Towarzystwa jest zorganizowane społeczne muzeum regionalne w Krasnymstawie.

Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Chełmskiej w swojej pracy nawiązuje do przebogatej tradycji wydawniczych z okresu międzywojennego (wychodziły wówczas w Chełmie następujące czasopisma: „Kamena”, „Zwierciadło”, „Chełmski Kurier Ilustrowany”, „Kronika Nadbużańska”, „Spójnia”, „Wzlot”, „Nasze Pióro” i in.).

Towarzystwo Chełmskie wydaje obecnie „Jednodniówkę Chełmską”. Na najbliższe lata zakreśla sobie bardzo ambitne plany wydawnicze. Nie zapomina także o akcji odczytowej, wycieczkach turystyczno-wychowawczych, spotkaniach z literatami, dziennikarzami i naukowcami, o organizowaniu sesji naukowych poświęconych historii Ziemi Chełmskiej nie zapomina o poszukiwaniach i pracach badawczych swego regionu.

Dużo również należy oczekiwać od środowiska puławskiego, które posiada zarówno bogate tradycje jak też duże nowe możliwości.

O realizacji wszystkich tych wartościowych planów decyduje przede wszystkim człowiek, bo jak powiedział Tow. Gomułka na IV Plenum KC PZPR — „za pieniądze można kupić pracę człowieka, nie można kupić jego serca, ambicji zawodowej, ofiarności, uporczywości i zapachu. Za pieniądze nie można nakazać człowiekowi myśleć kategoriami państwa i narodu, ukształtować jego rzetelnego podejścia i postawy wobec pracy społecznej”.

Na naradzie regionalnych i lokalnych stowarzyszeń kulturalnych zwołanej przez Ministerstwo w marcu ub. dokonano oceny istniejącego stanu i działalności stowarzyszeń regionalnych oraz w konkretny sposób określono kierunki i formy działania. Szczególnie mocno podkreślono, że działalność regionalnych i lokalnych stowarzyszeń kulturalnych stanowi ruch społecznie użyteczny i jako taki zasługuje na uznanie i szacunek, a zatem wymaga poparcia i życzliwej pomocy. Korzystne będzie współdziałanie społecznego ruchu kulturalnego w ramach komisji koordynacyjnych, co znacznie może rozszerzyć zakres oddziaływania na różne kręgi społeczne. Wspólną płaszczyzną ideowo-wychowawczą całego ruchu społecznego winny być ideowo programowe założenia Frontu Jedności Narodu. Konferencja zorganizowana obecnie przez Wydział Kultury Prezydium WRN ma na celu nie tylko przeniesienie wniosków i postulatów narady krajowej, lecz także próbę praktycznego znalezienia i zastosowania właściwych form pracy w naszym środowisku oraz podkreślenie dużej roli jaką mogą spełniać stowarzyszenia w pobudzeniu i ożywieniu życia kulturalnego na Lubelszczyźnie.

W polityce Wydziału szczególnie nacisk kładzie się na ściśle współdziałanie państwowych placówek kulturalno-oświatowych z działaczami społecznymi.

Opracowanie pewnych norm prawnych i porządkowych m. in. uchwały Prezydium WRN nr 16 z dnia 16.1. 1961 r., zobowiązuje również władze terenowe (powiatowe i gromadzkie) do stwarzania lepszych warunków materialnych dla działalności lokalnej poprzez poprawę sytuacji lokalnej placówek k.o. oraz odpowiednie ich wyposażenie i udostępnienie każdej pozytywnej formy działania.

Pierwszy na Lubelszczyźnie instytut kształcenia nauczycieli

JAN DOBRZAŃSKI

Redakcja „Kamień” zwróciła się do Kierownika Katedry Historii Oświaty i Wychowania przy UMCS, prof. dr. Jana Dobrzańskiego, z prośbą o współpracę w zakresie popularyzacji postępowych tradycji szkolnictwa lubelskiego. Opublikowany niżej artykuł jest pierwszym z cyklu materiałów, które ukazywać się będą w „Kamieniu”.

W PUBLIKACJACH naukowych z zakresu historii szkolnictwa w Królestwie Polskim przed wybuchem powstania listopadowego podkreśla się udział Lublina i Lubelszczyzny w torowaniu drogi nowym, postępowym prądem szkolno-oświatowym na odcinku szkolnictwa elementarnego. Podnosi się rolę lubelskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk (1818—1830) w budzeniu zainteresowania oświatą ludu, przynajmniej się Lublinowi pionierską rolę w propagowaniu i wprowadzaniu do szkół modnej wówczas metody wzajemnego nauczania (Bell-Lankastra), której głównym rzecznikiem na tutejszym gruncie, a jednym z oryginalności organizacji szkolnej w Hrubieszowskim Towarzystwie Rolniczym pomysłu Stanisława Staszica. Mało natomiast wiemy o tym, że w tym czasie istniała w Puławach placówka szkolna, jedna z dwu w kraju, ważna dla rozwoju szkolnictwa ludowego, bo kształcąca kandydatów na nauczycieli. Mam tu na myśli powołany do życia przez ówczesne władze oświatowe w 1819 roku Instytut Nauczycieli Elementarnych. Rola i znaczenie jego, podobnie jak jego pierwszorzutu Instytutu Nauczycielskiego w Łowiczu, zrozumiała się staję na tle rozwoju szkolnictwa elementarnego w Królestwie Polskim.

Podwaliny pod budowę świeckiej, publicznej szkoły ludowej rzuciła w Księstwie Warszawskim Izba Edukacyjna. Jej zawiądkami opracowanie założeń organizacyjnych szkoły, obmyślenie podstawy materialnej, uznanie zasady powszechności i nadanie kierunku rozwoju. Równocześnie Izba rozwinęła żywą działalność około rozbudowy ilościowej szkół. Po 1815 r. w Królestwie Polskim u steru oświaty pozostali ci sami ludzie. Oni to, Stanisław Kostka Potocki, Stanisław Staszic, Józef Lipiński, przy poparciu postępowych elementów w walce z reakcją i egoizmem stanowym szlachty ziemiańskiej, prowadzili dalej rozpoczęte dzieło. W 1816 r. było 346 szkół elementarnych w miastach i 374 we wsiach, w pierwszych, uczyło się 12.539 dzieci, w drugich 10.562. W 1820 r. w 342 szkołach miejskich uczyło się 17.708 młodzieży, w 880 wiejskich 19.915. Było to wiele, zważywszy ówczesne nędzne położenie chłopca i układ stosunków społeczno-politycznych w kraju.

Rozbudowując szkolnictwo elementarne władze oświatowe zdawały sobie sprawę, że podstawowym w nich czynnikiem jest nauczyciel przygotowany nauczyciel. Zwróciły więc uwagę na dobrą urzędzenie zakładów kształcenia kandydatów na nauczycieli. Za czasów Księstwa Warszawskiego były dwa takie zakłady: w Poznaniu i Łowiczu, obydwa bardzo dobrze postawione, kształcące kandydatów w oparciu o najnowsze zdobycze pedagogiczne. Po 1815 r. seminarium poznańskie znalazło się w zaborze pruskim, pozostało tylko łowickie. Tymczasem ilość szkół wzrastała, a z tym zapotrzebowanie na kwalifikowanych nauczycieli. Zaszła więc potrzeba założenia jeszcze jednego zakładu kształcenia kandydatów. Oto jak Komisja Rządowa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w raporcie z 9 marca 1819 r. do Rady Stanu uzasadniała konieczność utworzenia takiego zakładu: „Pomnażanie się szkółek elementarnych miejskich i wiejskich wskazywało potrzebę pomnożenia liczby młodzieży sposobnej się włączyć na nauczycieli tego stopnia w osobnej szkole łowickiej. Liczba kandydatów sposobnych się na takich nauczycieli wynosiła w roku zeszłym 36. Mający z pomiędzy nich zdolność do muzyki sposobni się na nauczycieli organistów, aby wykształceni mogli w cenniejszych miejscach być wzorem lepszego sposobu uczenia a razem zaszczepliwać chęć do muzyki

w krajowej młodzieży, okazującej wiele do tego skłonności, być także posługą przy kościele parafialnym, sobie zaś sposób utrzymania ułatwić. Gdy się okazała stąd niedogodność, iż usposobieni w tej szkole nauczyciele z trudnością mogli być przesłani w odległe okolice, uznała Komisja Rządowa potrzebę tymczasowo drugą podobną szkołę założyć w województwie lubelskim i zamiar ten przygotowano do wykonania w roku bieżącym”. W raporcie z 20 kwietnia następnego roku Komisja Rządowa donosiła Radzie Stanu, że już „przywieziono do skutku urządzenie w Puławach drugiego instytutu....., który poruczone doświadczenemu w kształceniu młodzieży do takowego powołania sposobnej się, profesorowi niegdy podobnego instytutu w Łowiczu”.

Tym doświadczenym nauczycielem był Hipolit Pałowski. Komisja Rządowa wyznaczyła go na organizatora i tymczasowego kierownika z tytułem zastępcy rektora nowo powstającego Instytutu. Trzeba dodać, że dokonała trafnego wyboru. Pałowski bowiem okazał się dobrym, energicznym organizatorem i pedagogiem w pełni przygotowanym do nadania swojemu zakładowi właściwego kierunku dydaktycznego. Wzorem dla niego był Instytut w Łowiczu, wzór ten przeniósł do Puław i tu go realizował.

Pałowski przybył do Puław 10 września 1819 roku i od razu przystąpił do pracy. Najważniejszą sprawą było pomieszczenie szkoły. Na ten cel ks. Adam Czartoryski, dziedzic Puław, darował dom z ogrodem. Darowiznę przejął jeden z komisarzy wojewódzkich, który stwierdził, że budynek w zupełności odpowiada celom. W rzeczywistości było inaczej, dom był stary o ścianach zupełnie spróchniałych, dach zniszczony, całość w takim stanie, że szkoda było pieniędzy na gruntowny remont. Należało wzniesić nowy budynek. Do tego jednak nie doszło i trzeba było zadowolić się starym, dokonując w nim stałe koniecznych napraw. Sprawiało to Pałowskiemu i jego następcy wiele kłopotów i zmartwień.

W pierwszym roku szkolnym 1819/20 oprócz rektora pracowało w Instytucie dwóch nauczycieli kandydatów i jeden szkoły wzorowej (ćwiczeniówki). W następnym przybył jeszcze nauczyciel religii stanu duchownego. Pałowski, najpierw jako zastępca rektora, od sierpnia 1821 roku jako rektor, pracował do maja 1824 r. W tym czasie ciężko zachorował i 12 czerwca zmarł. W czasie choroby, a następnie do chwili mianowania nowego rektora, obowiązki kierownika zakładu pełnił ówczesny prefekt a zarazem członek miejscowego dozoru szkolnego ks. Józef Dobrzyński. Następca Pałowskiego od 28 stycznia 1825 r. został nauczyciel szkoły wojewódzkiej w Lublinie, ks. Tomasz Barciński, który pozostawał na tym stanowisku do chwili zamknięcia Instytutu w 1832 roku.

Główny ciężar pracy nad przygotowaniem kandydatów spoczywał na nauczycielu Antonim Czeklińskim. Pracowity, obowiązkowy, dobry pedagog cieszył się uznaniem rektora i władz. Mianowany w styczniu 1820 r. zastępcą nauczyciela, wkrótce potem został rzeczywistym nauczycielem kandydatów i w tym charakterze nieprzerwanie pozostawał w Puławach do końca istnienia szkoły.

Inni nauczyciele zmieniali się. Pierwszym nauczycielem śpiewu i muzyki był Wacław Raszek, któremu z powodu podeszłego wieku z trudnością przychodziło spełniać swoje obowiązki. Wyniki pracy miał dobre. Odszedł na własną prośbę 31 stycznia 1826 r. w 72 roku życia. Jego następcą był Tadeusz Moszyński, „więcej usposobiony w przedmiotach naukowych, niż w muzyce”, co było głównym powodem przeniesienia go w lipcu 1830 r. do szkoły wojewódzkiej w Łomży. Niedostatkami Moszyńskiego uzupełniał uczeń Raszka, Wojciech Stoczynski, od stycznia 1826 r. zastępca nauczyciela. Mimo dobrego przygotowania był drugim nauczycielem muzyki i śpiewu. Z tego tytułu pobierał mniejszą pensję, co rzecz zrozumiała wywoływało u niego rozgoryczenie. Sytuacja jego poprawiła się dopiero po odejściu Moszyńskiego, którego zastąpił młodziej.

PRZY Instytucie musiała być szkoła wzorowa, w której kandydaci mieli odbywać praktykę pedagogiczną. Władze szkolne za taką uznały istniejącą w Puławach szkołę elementarną i złączyły ją z Instytutem. Pierwszym nauczycielem w tej szkole był Wojciech Czajewicz, mianowany 27 listopada 1819 r. Uczył parę lat ku zadowoleniu rektora Pałowskiego. Z nowym rokiem szkolnym 1823/4 został przeniesiony na kolaboranta do szkoły wydziałowej w Siedlcach. Jego następcą, Piotr Wesołowski, pracował krótko. Z powodu niewłaściwego, uwłaczającego godności nauczyciela, prowadzenia się został zwolniony, a jego miejsce zajął wychowanek Instytutu w Łowiczu Andrzej Sobczyński. Wybór okazał się trafny. Z Łowicza wyniósł Sobczyński dobre przygotowanie do zawodu, był pracowitym, solidnym, w opinii rektora uchodził za mało energicznego, na co niewątpliwie wpływał słaby stan jego zdrowia.

Kurs nauki w Instytucie był dwuletni. Program nauczania obejmował następujące przedmioty: religia, nauka moralna, język ojczysty, historia polski, rachunki, początki geometrii, nauka o przyrodzie, początki fizyki, geografia, wiadomości o prawach krajowych, początki języka łacińskiego, pedagogika, muzyka i śpiew, kaligrafia, rysunek, ogrodnictwo.

Kandydaci rekrutowali się głównie z Lubelszczyzny i województw sąsiednich. Niezamożni synowie wyrobników, chłopów, służby lub drobnej inteligencji zdobywali w Instytucie dyplomy nauczycieli. Warunkiem przyjęcia było ukończenie szkoły elementarnej i złożenie z pomyślnym wynikiem wstępnego egzaminu. Wśród zgłaszających się byli także uczniowie szkół średnich.

Wiek kandydata określono na 18—29 lat życia. W poszczególnych wypadkach przyjmowano młodszych.

Kandydaci dzielili się na stypendystów i tak zwanych ekspektantów, tj. tych, którzy byli na własnym utrzymaniu i czekali na przyznanie im stypendium. Stypendystów początkowo było 12, od roku 1824 liczbę ich podniesiono do 24. Stypendium wynosiło 300 złp rocznie. Wystarczyło to na skromne utrzymanie. Nauka dla wszystkich była bezpłatna. W miarę miejsca kandydaci mieszkali w Instytucie i mieli wspólne wyżywienie. Nie zawsze przyznawano stypendia w pełnej ilości. Zależało to od kwalifikacji ubiegającego się (stan materialny rodziców, postępy w nauce, zachowanie się itp.). Z drugiej strony ilość stypendystów zależała od przyznanych Instytutowi kredytów na dany rok. Liczba kandydatów nie była stała. W r. szk. 1819/20 było 4 stypendystów i 16 ekspektantów. W następnym roku było 9 pierwszych i 9 drugich. W r. szk. 1826/7 uczyło się 30 kandydatów, z których 23 pobierało stypendia. Na początku roku szkolnego 1828/9 zapisanych było 14 stypendystów i 8 ekspektantów.

W ciągu kilkunastu lat istnienia Instytutu opuściło go 77 kwalifikowanych nauczycieli szkół elementarnych. Część z nich poszukała sobie pracy w innych zawodach, większość zaś była wydatnie szereg nauczycielskie i to głównie na Lubelszczyźnie. Stanowili oni, jak na ówczesne czasy, dobrze przygotowaną grupę pracowników na niwie szkolnej. O ich doli i niedoli, warunkach i możliwościach pracy opowiemy w następnym artykule.

W JEZYKU ekonomistów budowlanych nazywa się to „małe inwestycje kulturalne”. W przeciwieństwie do dużych — teatrów, kin, domów kultury. Ale nie tylko o wielkość fizyczną chodzi, nie o jej funkcję kulturalno-społeczną, a nawet nie bardzo o ilość złotych koniecznych do realizacji budowy. Istotną rzeczą okazuje się fakt, czy inwestycja w planie bankowym istnieje sama w sobie, jako teatr lub dom kultury, czy też — nie posiadając własnego „tytułu inwestycyjnego” — gubi się w takim pojęciu, jak budowa osiedla X, rozbudowa dzielnicy Y.

W tym pierwszym bowiem przypadku — niezależnie od zapotrzebowania społecznego — trzeba uzyskać zgodę wielu władz, wydzielone kredyty, dokumentację, wykonawcę itd. Sprawa dość skomplikowana i wymagająca wysiłku, a także uporu i konsekwencji. A ponieważ tych zalet w Lublinie niezbyt łatwo się doszukać, efekt taki, że „dużych” inwestycji wcale nam nie przybywa. A np. Janów Lubelski, oddając ostatnio do użytku dwupiętrowy dom kultury, pokazał, że trudności w realizowaniu dużych inwestycji kulturalnych nie są bynajmniej nie do pokonania...

A co to są owe „małe inwestycje kulturalne”? Mamy w Lublinie dwie takie placówki — na osiedlach Bronowice i ZOR Zachód. Coś w rodzaju małych klubów, zajmujących tylko część budynków mieszkalnych. Dwa — trzy pokoiki przeznaczone na czytelnictwo czy bibliotekę, salka na odczyty czy seanse filmowe. Wybudowanie takiego obiektu nie wymaga żadnych specjalnych zachodów. Ba — przy wznoszeniu nowych osiedli wystarczy stosowanie projektów typowych, przewidujących budowanie takich właśnie placówek kulturalnych wszędzie tam, gdzie powstaje większe skupisko ludzi.

Na jednym z ostatnich posiedzeń Prezydium lubelskiej MRN powiedziano kilka słów na temat tego właśnie rodzaju inwestycji kulturalnych. Kierownik Wydziału Kultury oświadczył autorytatywnie, że obowiązujące dawniej zarządzenia zostały unieważnione i że budowanie „małych” inwestycji kulturalnych wymaga przyznania specjalnych kredytów przyszłemu użytkownikowi, tj. Wydziałowi Kultury.

Zaniepokoiłem się tym oświadczeniem poważnie. No, bo przecież od lat pięciu i w Lublinie, i w innych miejscowościach naszego województwa, gdzie powstają tzw. osiedla ZOR, nie oddano do użytku ludności ani jednej takiej inwestycji. A ponieważ plany inwestycyjne na okres najbliższych pięciu lat są już zatwierdzone — nie trudno obliczyć, że całe dziesięciolecie nie ma w dziedzinie „małego” życia kulturalnego nie przyniesie. W ciągu kilku następnych dni przewertowałem grube tomiska zarządzeń kil-

„MAŁE” CZY ŻADNE?

ku ministerstw, nie wyłączając międzyministerialnego „Monitora”. Nie podobnego nie znalazłem. Rozmowy z kilku specjalistami od inwestycji upewniły mnie w przekonaniu, że dawne zarządzenia o konieczności budowania w nowych osiedlach lokali przeznaczonych dla konsumentów czy twórców kultury wcale nie zostały unieważnione. Obowiązują nadal!

Rzecz tylko w tym, że nikt się do nich nie stosuje. Wybudowaliśmy w Lublinie, albo budujemy, osiedla: RDM, Lipowa, Szenwald, Unicka, Róży Luksemburg, Głębocka, Bronowice II. Dla kultury, nawet dla tej rzekomo małej, nie znalazł się ani jeden metr kwadratowy. Natomiast gdzieś w środku koła, którego obwód przebiega przez większość tych właśnie dzielnic, rozpoczniemy wkrótce budowę izby wytrzeźwień. Tylko nikt jakos nie zastanowił się, że większość przyszłej klienteli tej izby to właśnie niedoświadczeni widzowie czy słuchacze nie wybudowanych dzielnicowych klubów i bibliotek.

Tu dla ścisłości muszę dodać, że zarówno na Głębockiej, jak i na Bronowicach II, projektuje się wybudowanie naprawdę pięknych dzielnicowych domów kultury, już tych z osobnych tytułów inwestycyjnych, a więc z zakresu „dużych”. Ale gdzieś w mglistej przyszłości. I drugie sprostowanie. W dużym budynku na rogu ulic Lipowej i Okopowej wybudowano „małą inwestycję kulturalną” — salkę, pomieszczenie na bibliotekę i coś tam jeszcze. Ale konia z rzędem temu, kto udowodni, że chociaż dziesięć procent działaczy kulturalnych wie o tym fakcie. Albowiem nie tylko wybudowano to w tajemnicy, ale w jeszcze większej tajemnicy cały lokal przydzielono na biura przedsiębiorstwa gastronomicznego. Nikomu nie wypominając, pozwolę sobie tylko zauważyć, że właśnie tego typu przedsiębiorstwa dostarczają systematycznie najwierniejszych klientów izbom wytrzeźwień...

Skąd więc ta niechęć do inwestycji kulturalnych? Skąd plotka o unieważnieniu obowiązującego zarządzenia?

Faktem jest, że tzw. małe inwestycje kulturalne muszą być pokrywane z kredytów przeznaczonych na budownictwo mieszkaniowe. Mamy pod tym względem niezwykle ciężką sytuację. Dotkliwy brak mieszkań powoduje niewątpliwie silny nacisk na władze, aby każdy grosz wykorzystać na zbudowa-

(Dokończenie na str. 11)

INTERESUJĄCYM przyczynkiem do dzieł recepcji Lwa Tołstoja w Polsce są wypowiedzi na temat jego osoby i twórczości sformułowane przez współczesnych mu wybitnych przedstawicieli naszej literatury. Wypowiedzi te są znamienne zarówno dla ich autorów, jak też dla rosyjskiego artysty i myśliciela.

Początkowo pisarze nasi nie ujawniali swego stosunku do Tołstoja, jak zresztą do literatury rosyjskiej w ogóle. Przyczyną tej powściągliwości były — zwłaszcza po roku 1863 — nastroje oporu wobec wpływów kulturalnych Wschodu. Stąd pierwsze wzmianki i sady naszych pisarzy o Tołstoju odnajdujemy prawie wyłącznie w korespondencji z najbliższym otoczeniem. Są one tym cenniejsze, że techną bezwzględna szczerością.

Stefan Żeromski, wspominając w listach do swej narzeczonej, Oktawii Rodkiewiczowej, o pasjonującej go lekturze, wymienia najczęściej nazwiska: Dickens, Prusa i Tołstoja.

Czytam Tołstoja i to czytanie nauca mnie mądrości darcia własnych utworów — zwierzał się w liście z dnia 22.V. 1892 r.

Czytam (...) Tołstoja „Wojnę i mir” i ucze się prawdziwej psychologii — donosił dnia następnego.

Toteż nieprzypadkowo są powinowactwa między dziełami Tołstoja i Żeromskiego. Przyszły autor „Popiołów” uczył się u rosyjskiego pisarza nie tylko wnikliwej analizy psychologicznej i kompozycji powieściowej, ale także właściwego ujęcia roli mas ludowych w wielkich procesach historycznych. Podobnie jak Tołstoj, stał się Żeromski pośrednim odzwierciedleniem protestu ubogiego chłopstwa przeciwko uciskowi i krzywdzie społecznej.

Z tego samego mniej więcej okresu pochodzą uwagi o Tołstoju wyrażone przez Stanisława Witkiewicza, który w korespondencji z siostrą swą, Marią Witkiewiczówną, dzielił się wrażeniami z lektury dzieł pisarza.

Ja czytam Tołstoja, jedynę czytanie, które znoszę — zwierzał się w liście z dnia 21.XII. 1892 r. Tołstoja nie tylko znoszę, ale się zaczytuję. Straszna

PISARZE POLSCY O LWIE TOŁSTOJU

REGINA GERLECKA

bestia. Czytajcie, jeśli macie. „Wojna i mir” jest to coś, co obejmuje takie światy uczuć i myśli, że z nich wyjść się nie chce i nie potrzebuje...

Literaturą, którą się całą zimę karmię — pisał dwa miesiące później — jest Tołstoj. Nic równie mi bliskiego jako sztuka nie znam. A potem dużo, choć nie wszystko, z jego filozofii tak bardzo odpowiada moim pojęciom. A potem jest on tak wielki, tak szeroki, że nie potrzeba prawie niczego poza nim szukać... Dla mnie to jedyne, z którym żyć mogę.

Oto geneza głębokich analogii między postawą filozoficzną Tołstoja i Witkiewicza. Zagadnienia religijne, etyki i sztuki, sprawy społeczne i pedagogiczne rozwiązywał Witkiewicz w oparciu o koncepcje wielkiego Rosjanina.

Wzmianki o Tołstoju występują niejednokrotnie w korespondencji Elizy Orzeszkowej z przyjaciółmi, wydawcami i krytykami literackimi. Wzmianki te wskazują wyraźnie, że autorka „Chama” interesowała się żywo twórczością Tołstoja i pilnie śledziła jego działalność. Powściągliwa w ocenie literatury rosyjskiej — tak jednak w liście z dnia 4.II. 1900 r., adresowanym do I. Baranowskiego, pisała o „Zmartwychwstaniu”:

Czytałam w tych czasach po rosyjsku „Wskrzeszenie” Tołstoja i jeżeli by Drogiemu Panu wypadła kiedy chwila beletrystyce przyjazna, rzeczę, oryginalną i bądź co bądź genialną, polecam, chociaż o jej doktrynach byłoby także trochę do mówienia.

„Zmartwychwstanie” jako najpełniejszy artystyczny wyraz protestu przeciwko wszystkiemu, z czym Tołstoj

walczył dotąd jako moralista i demaskator, spotkało się z najwyższym uznaniem naszych przedstawicieli literatury. Adolf Dygasiński w listach do swej córki, Zofii Wolertowej, wyrażał zachwyt dla tej książki. Prus pierwszy z polskich pisarzy opublikował na łamach „Kurierza Codziennego” w 1900 r. (w związku z pojawieniem się kilku polskich przekładów „Zmartwychwstania”) niewielki szkic o Tołstoju. Czytamy tam:

„Zmartwychwstanie”, współcześnie z oryginałem drukowało się we wszystkich językach europejskich: dowód — jak cenionym jest autor. W naszym języku jednocześnie ukazały się cztery edycje tej znakomitej powieści: dowód — że polski ogół oświecony rozumie i odczuwa genialnego pisarza...

Chwilami zdaje mi się, że powieść ta należy do najwznioślejszych utworów, na jakie zdobył się duch ludzki, pomimo, że jest pisana jakby na przekór ulubionym teoriom estetycznym.

Prus nie podkreślił zawartej w powieści namiętej krytyki układu społecznego, politycznego i religijnego, a doktrynę Tołstoja o niesprzeciwianiu się złu interpretował z punktu widzenia praktycznej filozofii pozytywistycznej, niemniej jednak recenzja jego tchnie głębokim podziwem dla „wielkiego człowieka, który oświetla rozmaite nędze społeczne i niezmiernie cierpienia jednostek”.

Zawarta w „Zmartwychwstaniu” artystyczna wizja wspólnoty gminnej i przebudowy człowieka w oparciu o zasady ewangeliczne znalazła żywy oddźwięk w pomysłach twórczych Władysława Orkana, tj. w jego powieści „W Roztokach”. Toteż w liście

z dnia 8.XI. 1902 r. zwierzał się Orkan W. Feldmanowi:

Z nikim nie mówiłem o tym, ale faktem jest: najbardziej na myśl moją oddziaływał Tołstoj i Ruskin. Pierwszy życiem swoim, drugi zaś swoimi fantazjami.

Urok moralny postaci Tołstoja i oryginalność jego życia, które prowadził zgodnie ze swymi zasadami — oto dodatkowe czynniki ogromnej popularności pisarza. Toteż poglądy Tołstoja i wzniecony przezeń ruch etyczny przenikały daleko poza granice Rosji. Natomiast wśród współczesnych mu pisarzy polskich największym jego entuzjastą pozostał Stanisław Witkiewicz. W każdym niemal utworze autora „Na przelęczy” przewija się myśl o Tołstoju. Witkiewicz widział w nim zespolenie najlepszych, podstawowych cech narodu rosyjskiego: głębię uczucia, powagę myśli i maksymalizm.

który nie cofa się przed żadnymi fetyszami i idzie do samej głębi dziejów (...) z bezwzględnością obalając to wszystko, co jest szczegółowe, chwilowe, względne, tymczasowe, co jest kompromisem z jakąkolwiek siłą, z jakimkolwiek konwenansem. („Przełom”).

Jednocześnie Witkiewicz uważał Tołstoja za człowieka.

który mając wszystkie cechy czystego Rosjanina jest zarazem najbardziej wszechludzkim w swoich krainowo doskonałych pojęciach życia. (Tamże).

W szkicu „Wallenrodyzm czy znikczemnienie” pisał:

Ta wielka, prosta i meżna dusza (...) stoi samotna wobec całej potęgi despotyzmu i z niezachwianym spokojem bóstwa, nie przepuszczającego oporu, mówi temu despotyzmowi najkrwawszą prawdę głośno i jawnie, bez pseudonimów.

Nie więc dziwnego, że autorytet moralny wielkiego starca z Jasnej Polany skłaniał współczesnych do szukania u niego pomocy i rady w kwestiach szczególnej wagi. I tak np. Henryk Sienkiewicz wystosował w 1907 r. list otwarty do Tołstoja pragnąc pobudzić go do zabrania głosu w sprawie zamierzonego przez rząd pruski przymusowego wywłaszczenia chłopów polskich w Poznanskiem. Odpowiedź, jaką otrzymał, była zgodna z całością tołstojowskiego poglądu na świat. W roku 1908, z okazji jubileuszu Lwa Tołstoja, dwoje wybitnych naszych pisarzy wypowiedziało się publicznie na jego temat. Orzeszkowa, pisząc o Tołstoju na łamach „Kurierza Polskiego”, podkreśliła przede wszystkim to, co harmonizowało z jej światopoglądem, a mianowicie: ewangeliczne cechy doktryny Tołstoja i jego postawę etyczną.

Wielki artysta i wielki myśliciel Lew Tołstoj wyrasta ponad całą sferę sztuki i myśli jako apostoł miłości pomiędzy ludźmi. Wśród różnorodnych objawów nienawiści i zawziętości, które do głębi przenikają świat współczesny, Lew Tołstoj jest przedstawicielem tej wielkości serca, która dąży do przerwania łańcuchów, do rozświetlenia ciemności, do przekucia mieczów na lemiesz. (...) Niech więc żyje jak najdłużej i prowadź naród do wybawienia — wielki wśród nienawiści i nieprawdy bojownik miłości i pokoju.

Wypowiedział się też Sienkiewicz na łamach „Czasu”. Tu, zwracając się do narodu rosyjskiego, pisał:

Tołstoj jest to najwyższe drzewo w lesie twórczości rosyjskiej, a przy tym tego rodzaju umysł, który mógł wyrosnąć tylko z rosyjskiej gleby. Złożyły się na niego całe wieki naszego historycznego i społecznego życia. Zbiornica dusza waszego ludu, przynależona niesłychanym brzemieniem niedoli i niewoli (...) przemówiła przez jego usta głosem, który usłyszał cały świat.

Z kolei Sienkiewicz dał głęboko słuszną ocenę znaczenia twórczości jubilata dla narodu rosyjskiego i dla całej ludzkości.

Dla sławy Rosji, dla jej znaczenia w świecie ducha uczynił on nieskończenie więcej od całych setek lent, szlif i chrestów. Oczywiście, że rzucał mimo woli stare wazgłady i podkopując fundamenty zmurzonej budowy, a dając w zamian niesłychanie trudną do urzeczywistnienia w praktycznym życiu ewangeliczno-anarchiczną idylę.

X. Rovay

(Dokończenie na str. 11)

Widzi mi się

ŁAWKA i KATEDRA (II)

Na katedrze znalazłem się w cztery i pół roku po uzyskaniu matury. Wcałe nie z powołania. Po dwuletnich studiach medycznych w Charkowie, których mi w Polsce nie chcieli zaliczyć, zmieniłem jakuleś i zacząłem od nowa. Wybrałem humanistykę ze względu na inklinacje literackie. Tak się mej młodej głowie wtedy uroiło: chcę pisać, a więc ten wydział będzie najodpowiedniejszy. A tu trafilem do palapki, z której prowadziły dwa wyjścia: albo praca naukowa, albo belferka. Przez tę drugą furtkę wyładowałem już po roku w Seminarium Nauczycielskim.

Uczyłem innych i sam się uczyłem, dojeżdżając na uniwersytet. Dwudziestotrzyletni „pedagog” miał niektórych uczniów starszych od siebie, jako że wojna poważnie opóźniła ich naukę. Jeden z nich kraincwo odwrócił normalny bieg wypadków zachodzących w życiu mężczyzny, bo najpierw został ojcem, potem małżonkiem, a dopiero dla uwieńczenia całości — maturzystą. Dwudziestotrzyletni „profesor” zadawał lekcje swym wychowankom i sobie, bo nie mając właściwego przygotowania, musiał swe braki uzupełniać samouctwem w domu. Ale rok za rokiem, ukończywszy uniwersytet, zaczynał się czuć coraz pewniej w siodło nauczycielskim. I kto wie, czy praca samodzielną nie dała mu więcej niż wyższy zakład naukowy.

Lubiłem młodzież i czułem się z nią dobrze. Staralem się ją zainteresować i umiałem ją utrzymać w ryzach nie surowością, ale raczej tolerancją i przyjacielskim stosunkiem. Ale byłem wymagający. Piątkami nie szafowałem. Zaciekle tepilem błędy ortograficzne, a mając pociąg do gramatyki usiłowalem dowiedzieć, że nie jest to nauka sucha ani nudna. Zmora moją były klasówki i żmudne ich poprawianie.

Ale gdyby moje obcowanie z młodzieżą ograniczyło się tylko do tego, niewesoły byłby mój żywot. Bo istotnych swoich zainteresowań nie zdradzałem. Zajmowałem się wciąż pisaniem, choć niewiele miałem na nią czasu. Zaczęłem już to i owo drukować. Lekturze oddawałem się z pasją i polecałem uczniom książki, które mi się podobały. Powracając rokrocznie z wyprawami górskimi z przyjemnością czytałem młodzieży urywki z Tetmajera i zadawałem do nauczenia się na pamięć sonety Nowickiego. To swoje hobby zaszczyliłem niektórym z nich, gdy dwukrotnie poprowadziłem wycieczkę szkolną w Tatry i to nawet na słowacką stronę.

A wkrótce znalazłem ujście i dla swych literackich skłonności: przy szkole powstało pismo „Pióro”, które, wychodząc nieregularnie, utrzymywało się jednak przez pięć lat. Ponieważ kwalifikowałem materiały do druku, starałem się o względnie możliwy w takich warunkach poziom. Tu drukowali swoje pierwociny Szczawiej i Kasperski.

Gdy założyliśmy przy seminarium koło literackie, uczniowie na patrona jego wybrali ulubionego swego (i ich nauczyciela) pisarza. Zakupiliśmy do biblioteczki koła komplet dzieł Żeromskiego i dyskutowaliśmy na temat jego utworów, niekoniernie tych, które przewidywał program. Ale ponieważ wśród starszej młodzieży znaleźli się amatorzy poezji, którzy sami próbowali rymować, księgozbiór nasz wkrótce powiększył się o setkę zbiorów poetyckich. Odtąd systematycznie zebrania niedzielne poświęcano również omawianiu poszczególnych „szkół” i grup poetyckich — od „Skamandra” do najnowszych — i czytaniu ich wierszy. Urządzaliśmy i wieczory poświęcone różnym współczesnym poetom.

Nie zapomnę stworzonej mi przez zwierzchnika uwagi po jednej z takich imprez. Właśnie przed kilku dniami przybył do szkoły nowy dyrektor, który był obecny na takim wieczorze. Szczawiej wystąpił na nim ze znanym wierszem Tuwima „Na noże”, który stanowił „ciot” jego programu recytatorskiego. Miał zdolności w tym kierunku i plastycznie przedstawił walkę dwóch mężczyzn o kobietę, ten kontrast między dynamiczną pierwszą częścią, gdzie powtarzają się wyrazy „chuć” i „kreiw”, „dźgnąć” i „walcic

pod żebra nóż”, bo „dwóch nas być nie może — albo ja, albo ty” i ta druga — liryczna, gdzie mowa o „niej” — „lilijnej, cichej, białej”, o którą toczy się pojedynkę. Gdy skończył, koledzy, od pierwszego kursu do piątego, nagrodzili go huraganem oklasków, w których i ja, dumny z powodzenia swego wychowanka, brałem udział. Atoli po skończonym wieczorze dyrektor wziął mnie uprzejmie pod ramię i po koleżeńsku wyraził zdziwienie, że ten wiersz znalazł się w programie. „Przecież on go tak świetnie recytuje” — tłumaczyłem się. „Tym gorzej — odpowiedział dyrektor — zanadto się to wszystko widzi. I jakie to może budzić instynkty?” Nie przekonał mnie, pomyślałem: „nietolerancyjny wstecznic, źle mi się ułoży z nim praca...”. A ułożyła się jak najlepiej. I dzisiaj myślę, że dyrektor miał wtedy rację.

Po Szczawieju i Kasperskim zarzysowały się jeszcze na ławie szkolnej nowe postacie piszących uczniów: Mrozowski, Popowski i Iwanik. Mrozowski wydał swój pierwszy zbiorek jeszcze na czwartym kursie seminarium, Popowski w rok później. Oczywiście wszyscy ci chłopcy (dziś literaci) mieli wrodzone zdolności, które z pewnością rozwinięłyby się w nich i bez tej „aury”, którą stwarzało koło literackie, ale może trwałoby to dłużej. Było jeszcze paru innych, którzy się parali wierszami. Chyba wszyscy z nich później drukowali to i owo w „Kamieniu”.

A nasz teatr? Wieczór trzech wieszczów z fragmentami „Dziadów”, „Kordiana” i „Nieboskiej”, „Odprawa posłów greckich”, „Lekarz mimo woli”, dwukrotnie w różnej obsadzie „Wesele”, „Antygona” — to przecież tak samo była szkoła.

Gdy dziś myślę o tym wszystkim, dziune mi się to wydaje: belferka oscylująca między Tatrami, poezją a teatrem. Ale widocznie tak być musiało, skoro swoje zamilowania pragnęł przełać choćby części młodzieży. Z uszczerbkiem dla programu szkolnego? Czasem i tak. Ale chyba nie z uszczerbkiem dla głów i serc wychowanków.

Ale mimo wszystko trudno było pracce nauczycielską łączyć z literacką. Zawsze wydawało mi się, jak mawiał Kochanowski, że „jedno drugim piacić trzeba”: dobry nauczyciel i zły literat albo odwrotnie.

BLAISE CENDRARS

Przekłady

KAZIMIERZA ANDRZEJA JAWORSKIEGO

Orion

To moja gwiazda
Ma kształt ręki
To moja ręka wzniesiona ku niebu
Przez cały czas wojny widziałem Orion przez otwór
w strzelnicy

Gdy Zeppelin nadlatywały aby bombardować Paryż
nadlatywały zawsze od strony Orionu

Dzisiaj mam go nad głową
Wielki maszt przesywa dłoń tej ręki która musi
cierpieć

Jak moja ręka ulecia każe mi cierpieć przesyła
nieustannym pociskiem

Niebezpieczne życie

Dzisiaj może jestem najszczęśliwszym człowiekiem
na świecie

Pesiadam wszystko czego nie pragnę
I jedyna rzecz do której przywiązałbym się w życiu
z każdym obrotem śruby zbliża się do mnie
A może straciłbym wszystko przybywając do niej

Przy ulicy Północnej

HELENA PLATTA

Wiał tu przeciągający jak lancetem
po żywym cieple — chłodny wiatr. Nie
na próżno nazywa się ta ulica —
Północną. Na jej szerokim rozpięciu
między polami, obok dopiero niedawno
lekką wznoszących się budowli
przyszłego kompleksu klinik Akademii
Medycznej, w pełni czy też na zakrę-
cie, stoi samotny, biały gmach.

I nie na dwóch pierwszych piętrach,
lecz najwyższej — znajduje się III Kli-
nika wewnętrzna Akademii Medycznej
w Lublinie.

„Trudno mi będzie wejść na to dru-
gie piętro” — pomyślałam. Ale otwo-
rzono przede mną zielonkawo-żółte
wnętrze kabiny i winda poszła bez-
szelestnie w górę.

„Oto żegnaj się z tym światem, le-
cąc pod jakieś stropy, przecież jestem
słaba bardzo i chora!”

Broniłam się przed tą „ostatecz-
nością”, przed koniecznością poddania
się leczeniu w klinice.

— Profesorze, czy to bardzo cięż-
kie schorzenie, te gronkowce?

Zza okularów patrzyły uważnie
szare oczy, pełne serdecznego współ-
czucia i wyrozumiałości.

— Musi pani niecodziennie pójść na
klinikę, jeśli chcesz, córeczko, być
zdrowsza. Nieodzowne!

Więc nie było rady.

W nocy za oknem przeciągał wiatr
od pół i ogrodów podmiejskich. Plu-
skał ogromnymi kropkami deszcz. Uli-
ca Północna. W niej — samotny, biały
dom pełen nieszczęścia. Znalazłam się
w tym domu.

*

A jednak tak wygodnie — wewnątrz.
Jasny korytarz, pełen zielonych trzy-
krotek i asparagów. Stoliki. Chodnik
tłumiący kroki. I tylko szelest stą-
pnięć siostr szpitalnych w białych far-
tach. Szereg drzwi do niewielkich
ośmiu sal dla chorych oddziału mę-
skiego i kobiecego.

Pierwsze wrażenie: „Wcale, wcale tu
nie straszno”.

Twarze pielęgnarek nie zdradzają
grozy przeżyć walczących w tym bia-
łym domu o życie lub zdrowie. Pach-
ną różę nad ślicznie nakrytym stol-
kiem. W okno wpada blask przejaś-
niającego się popołudnia. Stoję jeszcze
w tym korytarzu, rozmawiając z dok-
torem Rokietką, jedną z asystentek Profe-
sora.

— Dawniej wegetowaliśmy w wala-
jącym się baraku. Tak, w baraku, na
dziedzińcu szpitalnym przy ulicy Sie-
rocej.

Dopiero w 1958 r. uzyskaliśmy lokal.
Profesor wywalczył nareszcie dla swej
placówki naukowej, jaką jest klinika,
i dla swoich chorych „miejsce na
ziemi”. Urządziliśmy się jak tylko
można najlepiej w warunkach... sublo-
katorskich.

— Jak to? —

Bo na niższych piętrach tego gmachu
znajduje się Wojewódzki Oddział
Onkologiczny. My jesteśmy tylko:
„dccczepleni”, do czasu gdy zostaną
ukończone te budynki dookoła, które
pani widzi z naszych okien. Istotnie
dookoła szybko wyrastają mury. Tuż
obok budynku, gdzie nas leczą, krzą-
tają się robotnicy, dygoczą koparki,
dudnią maszyny.

*

W mojej sali nr 1 leży osiem osób.
Wysokie, białe łóżka, szerokie okna,
szafka, na których bieli połyskuje
świeża woda w lśniących karafkach.

I kwiaty.

Po nocnym ataku duszności, gdy
przybiegła czujna siostrzyczka
z lekiem uspokajającym zmęcze-
nie jeszcze pozostaje, choć bledsze w
blasku narastającego dnia. Lecz nie-
dlugo. Trzeba zmobilizować siły, do-
brać wolę, otrząsnąć się z przynębie-
nia.

— Pomóżcie nam, lekarzom, swoją
postawą — mówił pewnego dnia Profe-
sor. — Trzeba, żeby chory starał
się „brać w garść” swe nerwy, aby
sam sobie w ten sposób pomagał psy-
chicznie. To także ważne, wierzcie mi.

W małym kieliszku opalizujący
płyn. Za chwilę wiem, że minie atak.
Stosuję więc wspomnianą terapię, mó-
wię do siebie: „Chcę, żeby dolegli-
wość minęła szybko!” I — pomaga. Od
jednego z łóżek w ciastroszonej cieni-
ności nocnej płynie ku mnie współ-
czujące westchnienie:

— Ależ pani się męczy!

— Przepraszam, że obudziłam.

— Nie, ja też nie spałam. Dawno
nie śpię. Myślę o moim woreczku żół-
ciowym, boję się operacji!

— Niech pani się nie boi. Profesor
powiedział, może obejdzie się bez kra-
jania. Obiecał przynieść z domu jak-
iś doskonały lek zagraniczny. Wczo-
raj w czasie „wizyty” zrobił sobie wę-
zełek na chusteczce. Więc nie zapomni.
Przyniesie.

I rzeczywiście: nazajutrz z kieszeni
białego kitta profesorskiego do rąk
siostry Heleny przechodzi flakonik ze
specyfikiem wyprodukowanym przez
jakąś szwajcarską firmę. Lekarstwo,
którego nie posiada Klinika. Lekar-
stwo — prywatna własność Profesora,
który przyniósł je swojej pacjentce —
bezpłatnie.

— Jeszcze takiego doktora nie
widziałam! — dziwi się Karczmarzykowa
spod Krasnegostawu.

— A ode mnie to nie wziął ple-
niędzy, jak bylam u niego prywatnie
— odzywa się pani Sirko, która przy-
jechała tu spod Chełma.

— Prawda — dorzuca Inna — i ode
mnie też nic nie wziął!

— Po pracy choć późno, jeszcze z
domu telefonuje o piątej do szpitala
i pyta, czy się co nie stało, czy się

komu nie pogorszyło i jaką kto ma
gorączkę, co trza robić!

Rozmawia z adiunktem, doktorem
Kozakiem, który jest doskonałym or-
ganizatorem i lekarzem, lub z któ-
rymś z dyżurujących asystentów. Asy-
stentów ośmiu, oraz kilku lekarzy —
stażystów, a także zawsze kilku prak-
tykantów. W lipcu na przykład było
trzech miodych Czechów — studentów,
specjalizujących się u Profesora w in-
ternie.

Opiekun naszej sali, doktor Zygmunt
Jach ma dwa fakultety: skończył w
Lublinie filologię klasyczną i — me-
dycynę! Pisze obecnie u Profesora
pracę: „O próbie skórnej w przebiegu
choroby gośćcowej”.

Salowa wczesnym rankiem porzą-
kuje przed wizytą. Szumi odkurzacz,
furkocze froterka. A pokój i tak prze-
cież lśni czystością. Chore już są po
śniadaniu, składającym się z kawy
lub herbaty, bułki z masłem lub mar-
moladą. Wszystko gotowe do porannej
wizyty.

Najpierw przychodzi doktor Krauze,
jeden z lekarzy — stażystów, dojeżd-
żający codziennie z — Lubartowa.
Mierzy temperaturę, mierzy ciśnienie,
zapisuje uwagi — dotycząc każdego
z pacjentów, których jest w Klinice
około 56 (tyle tylko jest łóżek). Po-
tem na każdą z sal wchodzi lekarz
opiekujący się salą, gdyż będzie zda-
wał relację Profesorowi o stanie cho-
robowym każdej pacjentki czy pa-
cjenta.

Ale już nadchodzi Profesor. Dziś
duża asysta — robi się ciasno! Czter-
dziestopięcioletnie praktyki lekarskiej
wyculiło niezmiernie prof. Voita na
niedolę chorych. Nie jesteśmy dla nie-
go tylko „przypadkami”, jak to nieraz
bywa w klinikach akademickich, bę-
dących przecież placówkami szkolenio-
wymi, a nie usługowymi.

— Nie martw się, matusiu, mówi —
dobrze będzie!

Widziałam, jak dziękowały mu stare
i młode kobiety, podźwignięte z nie-
mocy, jak bały się go, a jednocześnie
kochały pielęgniarke. Asystenci chcieli
wychwytywać każde objaśniające sło-
wo, wynik stałego śledzenia rozwoju
najaktualniejszych osiągnięć medycyny
współczesnej.

Mnie także wyleczył, unicestwiając
owe groźne gronkowce. Miałam szczę-
ście: dostałam się pod opiekę wybit-
nego specjalisty. Profesor, który wy-
szedł swego czasu jako sekundariusz
z kliniki rakomitego doktora Gluziń-
skiego, specjalizował się w zakresie
interny wyjeżdżając do Wiednia, Ber-
lina, Gratzu, Paryża. Jest członkiem
Międzynarodowego Towarzystwa Inter-
nistów w Bazylei.

Zgodni z przyrzeczeniem, nie wy-
mieniałam do końca nazwiska tego wy-
bitnego naukowca, wielokrotnie odznaczo-
nego przez Państwo, laureata nagrody
Ministerstwa Zdrowia za pracę nau-
kową. Ale zna go cały Lublin, sznu-
je liczną rzeszę pacjentów. Więc po-
wiedzieliście sami:

— Jest to profesor Voit.

MAMONA i MELPOMENA

JERZY DOSTAŃSKI

TAK SIĘ złożyło, że niemal przed
czterema laty wraz z dwoma
członkami Prezydium lubelskiej
MRN — sam reprezentując największe
przedsiębiorstwo budowlane naszego
województwa — po odwiedzeniu licz-
nych urzędów centralnych w Warsza-
wie znalazłem się w gabinecie zastę-
pcy przewodniczącego Komisji Planowa-
nia przy Radzie Ministrów, prof. Se-
comskiego. Chodziło o uzyskanie kilku
dziesiątów milionów zł na budowę kilku
bloków mieszkalnych dla rodzin zaj-
mujących zresztą do dzisiaj kilkanaście
drewnianych baraków tuż przy FSC.
Prof. Secomski postawił sprawę w ten
sposób: taką samą liczbę milionów
mamy w planach na budowę nowego
teatru w Lublinie. Jeżeli zdecydujecie
się, że ważniejsza od teatru jest sprawa
tych bloków, to proszę bardzo.
Zmienimy w planach nazwę, miliony
pozostaną i wszystko będzie w porządku.

Ugłębiliśmy się przed tą alternatywą
na korzyść teatralnego gmachu. Dziś
z przykrością stwierdzam — niestety.
Nikomu bowiem personalnie nie wy-
minając wiem, że jak dotąd nie wybu-
dowano ani nowego teatru, ani owych

O D KILKU dni niebo jest pogod-
ne i świeci księżyc, myślę, że
moglibyśmy przejść się kiedyś
nocą”. Tak powiedziała przedwzo-
raj, był poniedziałek, dzisiaj środa,
a właściwie już czwartek. Księżyc
nie było, a tylko wyblakłe gwiazdy,
latarnie i okno na rogu trzeciego
piętra. Cały dom był ciemny i tylko
to jedno ciepła światłem. Nie spała,
wybijając bosymi piętami rytm,
chodząc po pokoju albo siedzia-
ła z książką pod kolorową lampą przy
piecu. Nogi miała okryte płedem i zer-
kała na drzwi, na zegarek, na drzwi,
powracała do książki, czytała. Moja
żona.

Oparty o kiosk, gapiłem się w skra-
wek jasności i obmyślałem, jak wejść,
żeby bez tłumaczeń i bez jej pytań
zadawanych z tą nieufnością, która za-
kłada z góry, że odpowiedzi będą nie-
szczerze. Każda wymówka, nawet praw-
da, roztrzaska się o jej podejrzliwość
i fałszywie zabrzmia dla nas obojga.
Twarz jej będzie wyrażała niepokój
pomieszany z troską i wystarczy sama
jej mina, abym zaczął skamlać jak
psiak. Oni mówili: „Zamykasz sobie
życie, życie to kobiety. Ty będziesz
miał tylko jedną i jedno życie, resztę
będziesz mógł tylko oglądać, zardzościć.
Przekonasz się wkrótce...”. Miał rację,
lecz ja też miałem, gdy zobaczyłem, że
nie potrafię być z dala od niej, że mu-
szę jej słuchać i na nią patrzeć i że
wcale to nie jest nudne, a im dłużej
na nią patrzę, tym bardziej chcę ją
ogłądać i jej słuchać, i być z nią ra-
zem.

Stałem z zadartą głową przy kiosku.
„Najlepiej udać pijanego, zwalnię się
nieprzytomnie na tapczan, zachrapać
— pomyślałem — jak wstanę, uwierzy
wszystkiemu. Ludzie z kocikowikiem
mówią prawdę. Bo jeśli powiem, że
pracowałem i przed chwilą wbiłem w
maszynę ostatnie zdanie, jakie potrafi-
łem wymyślić, zanim powieki zaczęły
ciążyć, a lampa migotać ostro, że w
tym zdaniu pisałem o miłości, chociaż
powinienem o tym napisać dopiero na
trzeciej kartce, ale śpieszyłem się do
niej, zaśmieję się nerwowo: „Kołację
musisz przegrzać. Kołację? Właściwie
to już śniadanie”. Powie i położę się
spać obrażona i obca. A później nastą-
nią dni milczenia, tłumionych kroków,
napięte i nieprzyjemne dni... W. mówił:
„zamykasz sobie życie. Nie tylko zresztą
życie, wątpliwe, żebyś potrafił wnieść
się ponad swój debiut. Żona też ma
swoje wymagania, a razem macie wy-
magania dubeltowe i dubeltowo trze-
ba im zarządzać, dubeltowo pisać, to
znaczy więcej, nie lepiej. A jak przy-
-

dotkowych budynków mieszkalnych.
Tajemnica zaś tkwi w tym, że przez
dwa lata po warszawskiej rozmowie
miliony wciążyły w państwowym
planie inwestycyjnym, ale w Lublinie
nie było nikogo, kto na serio i rze-
czywiście po gospodarstwu zająłby się
sprawą nowego przybytku dla lubel-
skiej Melpomeny.

Rzecz nie polega na tym, aby po
latach wskazywać palcem: a widział,
ja wiedziałem z góry... Chyba jednak
warto ujawnić ten fakt, aby w po-
łączeniu z innymi wykazać, że wbrew
okolicznościowym deklaracjom w dzie-
dzinie kultury — zarówno jeżeli cho-
dzi o inwestycje, jak i bieżącą dzia-
łalność — dzieją się dość dziwne rze-
czy.

W sprawozdaniu ustępującej MRN
Lublina można przeczytać, że w okre-
sie trzyletniej kadencji wydatki bud-
żetowe na dział „kultura i sztuka”
wzrosły o 376 proc. Święta prawda.
Ale wskaźniki mają to do siebie, że
można nimi udowodnić niemal wszyst-
ko. Gdy z niejakim trudem doszukamy
się cyfr bezwzględnych, sytuacja okaże
się zgoła inna. Wydatki miasta w la-
tach 1958—60 wyniosły łącznie prawie
834 miliony zł. W tym wydatki na kul-
turę 22,5 miliona zł. Jedna niewiado-
ma prostego równania materializuje
się w postaci przeznaczonych na kul-
turę i sztukę zaledwie 2,7 proc. ogółu
wydatków. Dla dokładności dodajmy,
że podobnie jest w preliminarzu na rok
bieżący.

Ten preliminarz zaś też zawiera w
sobie dość zaskakujące pozycje. Na
kulturę przewiduje się w rb. ok. 10
milionów zł. Ale zażyjemy znowu za-
kulis. Największą pozycję stanowi
3,5 mln zł dotacji dla szkół artystycz-
nych. Tyle, że te szkoły podlegają nie
MRN, lecz Kuratorium, a więc WRN.
Następnie 2,7 mln zł dopłaty do ope-
retki. Tu sytuacja jest przedziwna. Po
długich targach operetka została prze-
kazana władzom miejskim. Ale tylko
jeżeli chodzi o wydatkowanie sub-
sidium. Sprawy personalne, repertuar,
polityka wyjazdowa, akceptowanie
dziesiątków innych spraw — wszystko
to leży w kompetencji Wydziału Kul-

(Dokończenie na str. 11)

jedną nadgniała dzielnice, zataczałem w ten sposób duży łuk, co powinno zająć dwie godziny. O siódmej planowałem powrót do domu, przyniesienie mleka i przygotowanie śniadania, to ją udo-brucha, potem wystarczy ją rozsmie-szyć, aby było dobrze.

Dostałem się na brukowaną, wygiętą w górę i w bok, uliczkę. Cuchnęło tu wiecznym błotem. Uliczka dźwigała na grzbiecie wykoślawione i odrapane domki, oddzielone ogrodami, w których zaległy zeschłe badyje. W jednym ogrodzie zobaczyłem, odartą już z liści, gruszę! Owoce jeszcze wisiły, duże, żółte kropki, przypominały izy. Zaraz zawydziliśmy się swego skojarzenia. Co miały do rzeczy izy i sentymenty tu na tym zabitoocnym, zalatującym uryną, bruku, o świecie, gdy żona niepokoi się w domu, a lękliwy facet pęta się po mieście? Odwróciłem wzrok od drzewa. W tym miejscu uliczka windowała się w górę. Na tym garbie stał dom. Jakis nieprzyzwoity i nierówny, na gontach rósł ciemnozielony mech. Obok stała drewniana niezgaszona latarnia, której światło teraz w ogóle nie było światłem, i żarówka sprawiała wrażenie owiniętego w celofan cukierka.

W słońce domu stał mężczyzna w gaciach, o twarzy opuchniętej od snu, i miętosił w dłoniach papierosa. Znie-nawidziłem go od razu. Trudno mi było znaleźć przyczynę tego uczucia. Może wynikało z tego, że mieszkał w tym domu, może, że spał w nocy, a może zupełnie bez powodu.

— Masz pan zapaliki, — zagadnął.
— Mam.
— Daj pan ognia.
Wymignąłem go. Kątem oka zobaczy-łem rozdżawioną z oszołomienia gębę: zęby dolnej szczęki spróchniały i wi-działo się ostre, szerniałe korzenie.
— Głuchy.
— Nie — odparłem.
— To daj pan ognia.
— Nie.
— Dlaczego? — dziwił się coraz bar-dziej i na pewno był zły.
— Tak mi się podoba.

— Gówniarz! — dgoniło mnie. Szed-łem sztywno, sądząc, że dopadnie, wy-rznie w zęby i trzeba będzie oddać, wzmieszać się w bezsensowną bijatykę. Żalowałem, że nie dałem mu zapalek, ale było już za późno, więc napiąłem tylko kark i czekałem na cios. Gdy chodnik skręcił, odwróciłem głowę: tamten nie biegł, zasłonił go już poplątane drobnoliste krzaki. Przez moment nastuchiwałem kroków, lecz nie nadoiwały. „Nie będzie latał w kale-sonach” — pomyślałem.

Uliczka w tym miejscu zwała się jeszcze bardziej, z jednej strony ogra-niczała ją zbocze porośnięte brunatną trawą, gdzie pomiędzy żdzblami ponie-

rajkach śpieszyły do pracy. Krok mia-tymski, roztelepany, a w zębach, — jak niemal wszyscy — papierosa. Na-tnąłem się na taką, nosiła żółta chust-kę w pomarańczowe pasy i, gdy prze-chodziłem, zesłała z chodnika na bruk. Popatrzyła na mnie szybko, cieka-wym spojrzeniem, a potem wróciła na chodnik i poklekotała w swych obszer-nych butach. Depasowywała mnie na pewno do co ekscentryczniejszych dzi-eł z dzielnicy i poszła zaspokojeona podzielić się uwagami z innymi. „Wie-cie, u Kryśki był dziś taki w krawa-cie i okularach, może zagraniczny ja-ki” — „Bujasz” zarzuca jej słusz-nie. „Jak Boga kocham, widziałam”. Rozpowiedział o tym i tylko od mental-ności Kryśki będzie zależało, czy za-próbuje fakt, czy nie.

Poczułem głód, pogrzebałem w kie-szeniach płaszczka. Wpadł mi w ręce czkierka, rozwinąłem, włożyłem w u-sta, smak miał gorzki od przyklejonego tytoniu. Pomyślałem o papierosach. „Wiaściwie mógłbym zapalić, by przy-ćmić głód”. Zapaliłem. Gdzieś z boku ciężko zawarczał autobus, po pracy sil-nika poznawało się, że jest wypchany po brzegi. Przypomniałem sobie o uli-cy równoległej, szerokiej i też bruko-wanej, na którą zawdrowałimy kie-dys z nią. „Chciałabym zobaczyć te szaro-smutne dzielnice” — powiedziała raz. Pojechałamy autobusem. Z ba-dawczością turystki obserwowała oto-czenie, a ja wstydziliśmy się za nią i za ludzi, których oglądała. W pewnej chwili, gdy wycieczka stała się zbyt przykra, powiedziałem — jestem go-tów z nią nawet skończyć, choć wiedziałem, że nie spotykając jej będę kiśł w swoim pokoju, w tym przytul-nie urządzonej pudełku, którego mi zazdrośczone — „znajdujemy się po dwu stronach szyby. Wy z pokoju, jeśli nie macie wyobraźni, nie wierzycie w to, co dzieje się naprzeciwko, trak-tujecie ten pejzaż jak dekorację, a je-żeli potraficie tworzyć obrazy, przesa-dzacie i czasem ofiarujecie litość. To nieprzyjemne... Nie rozumiemy się nigdy”. Zaprzeczyła. „Mówisz niepraw-dę, ale uwierz ci każdy, kto nie zet-knięcie się z rzeczywistością. Temu co wypowiadasz umiesz narzucać wiary-godność. Dzisiaj się mylisz. Nie mnie nie obchodzi, gdzie mieszkałeś”. Ale i ona mówiła nieprawdę, gdy tylko przyznałem się do bruku i drewnia-nych kłitek, od razu chciała wracać, a u mnie w pokoju rozglądała się wni-kliwie, by stwierdzić, że z tamtymi zerwałem zupełnie.

Doszedłem do przecznicy będącej jak kładka pomiędzy wąską i szeroką uli-cą. Zza drewnianego parkanu, nad któ-rym widać było korony żółtych drzew i żerdź anteny przymocowaną na niewidocznym stąd dachu, wysunął się z wolna zielony samochód. Na błot-niku — wgiętym kiedyś i już wykle-panym — widniała czerwona plama nadająca mu ochronną barwę. Taksów-ka wyjechała tyłem i ustawiła się rów-noległe do parkanu, a kierowca o nala-nej, czerwonej twarzy wysiadł, pogrze-bał w bagażniku i wsiadł na powrót.
— Czekaj pan, wrzasnąłem.

Drgnął i otaksował mnie wzrokiem, mierząc mnie od butów do okularów.
— Aha, mruknął, a potem głośno: — Co? — głos miał taki, jakiego się spodziewałem: niski i ochryply.
— Kurs, kursik.
— Dobra, dyrektorze — zerknął pró-bując wyczytać, czy trafił.

„Może być dyrektor — pomyślałem — ty też potępiasz, ale to bez znaczenia. Tyram więcej niż ty razem z tym w gaciach. Nie wierzysz w taką pracę. Nie możesz pojąć, że człowiek wolał-by czasem łopatą albo samochodem od-

napisania jednej cholernej strony, któ-rą trzeba niekiedy waikować po kilka razy, aż przestaje się wierzyć w to, że jest niezbędna, sam rozważasz, a w końcu jesteś przekonany, żeś grafoman. Rzucasz wszystko. Potem jednak wracasz. Musisz wrócić”.

— Dokąd? zapytał, przytrzymując drzwi.

Nie odpowiedziałem, dopóki nie usa-dowiłem się wewnątrz, a on nie po-wtórzył: dokąd.

— Wszystko jedno.

— Aha — nacisnął starter, a kiedy wóz rozruchał się już na bruku — tacy już byli, owszem, może nie całkiem tacy: wyznaczali z grubsza trasę. Taką ulicą jedź, a tamta nie jedź, bo śmier-dzi. Koło parku zakręcisz, potem ka-wałek za miasto. A pan nie.

— Nie.

— Owszem — rzekł bez związku — owszem, owszem, aha.

Wydostał papierosa. Palli w sposób szczególny — odnosiło się wrażenie, że jego papieros był zawsze niedopałkiem. Jego oczy odbite w prostokątnym lu-sterku przypominały popękane szkło, początkowo patrzyły tolerancyjnie, póź-niej nabrały wyrazu obojętności oczu, które zrozumiwały.

Sen oblepiał mnie jak pajęczyna. Pragnąłem być w domu. Możliwe, że obliczy się bez scen. Kiedyś powie-działa: „Pracuj w domu. Ja zasną, a ty pracuj”. Usiłowałem. Budziła się i szep-tała: „Słuchaj, chodź”. Szedłem. Z przeświadczeniem chwilowej przerwy, po której natychmiast wrócę do pracy, zasiadę tyłem do niej i przez pewien czas jej obecność nie da mi spokoju, lecz gdy już zacznę — zapomnę. Chwy-tała mnie za włosy i ciągnęła w dół: atrament wysychał na papierze i w niezakreconym piórze. Lampa płonęła całą noc — żadne nie chciało wstać i zgasić.

Dobrnęliśmy do szerokiej ulicy. Tu już był dzień i ruch. Dwóch milicjan-tów w gumowych, sztywnych płasz-czach kroczono wolno w stronę przed-mieścia. Na plecach nieśli karabiny. Razem z nimi posuwała się pusta, okół-na przestrzeń o średnicy sześciu kro-ków.

— Wracają, powiedział szofer. Do-myśliłem się, że dotyczyło to milicjan-tów.

— Każdy kiedyś wraca — powie-działo, żeby coś rzec. Głupio to wy-szło.

— A owszem, żebyś pan wiedział. Niech skomam, masz pan rację. Mój szwagier urwał się z domu, pisząc w liście, żeby nie czekać, bo on zaczyna od nowa. Przyszedł schyłny po trzech dniach, zbil żonę i zamknęli go, ale wrócił. Jak to idzie. Każdy kiedyś wraca. Niczego sobie, owszem, owszem.

Nie chciało mi się już spać. Nastęla ta chwila, gdy psychika nastawia się na dzień. U mnie objawia się to około szóstej. Kierowca zauważył moją rze-kość i zaproponował:

— Może do knajpy.
— Może do knajpy. Wszystkie poza-mykane — zgodziłem się.

— Ale, Pan mnie nie znasz. Jest kil-ka dobrych punktów. Prześlicznych. Z dziewczynkami...

— To prosto.
— A bez dziewczynek?
— Dobra.

„Upiję się naprawdę — postanowi-łem — nie będę miał poczucia stracon-nych godzin. Dawno nie piłem”. Ogarnęło mnie podniecenie:

— Daleko jeszcze?

— Nie, bliźutko — powiedział, był zadowolony i skłonny do rozmów — ja to dużo wiem. Zawsze czekam pod dworcem: człowiek, jak przyjeżdża, chce poznać to i owo. Pomagam. Inni czekają pod restauracjami. Też dobra, owszem, ale to tylko kierowcy. A ja jak pasterz i zupełnie darmo... lubię robić dobrze.

Okna jakieś rozespiane i mdławie bly-skały światłami, ukazując mieszkania. Ludzie krzatali się tam pośpiesznie, muzyka radiowa uciekała na ulicę. Tamto na trzecim piętrze pewnie już zgasiło. Można by sprawdzić.

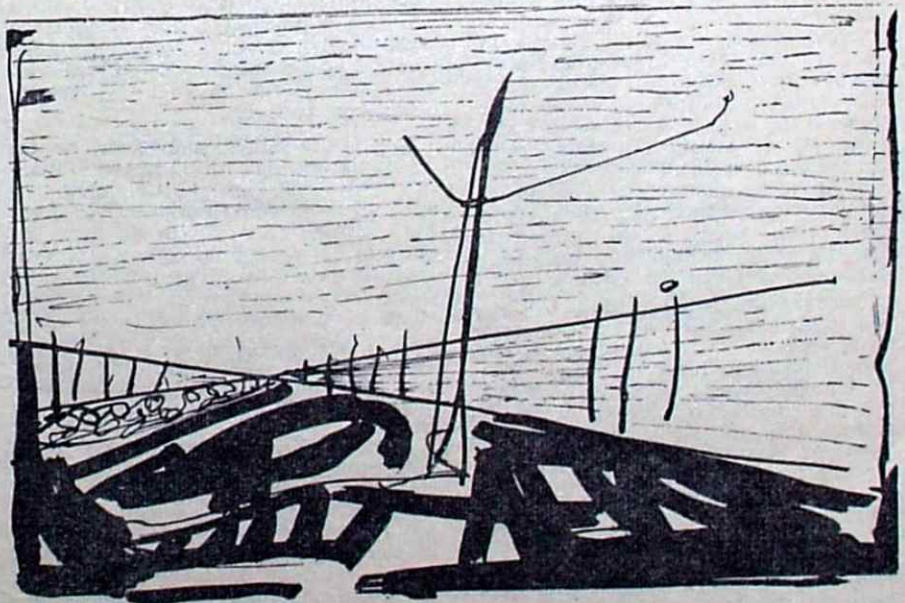
— Pojeżdż pan przez Prezydencką.
— Po cholery?
— Jedź.

Mamrocząc coś dodał gazu. Usłysza-łem: „Takich facetów jeszcze nie wozilem. Do Warszawy przez Tokio. Niech mnie cholera, jeśli to zrozumieni, nie wozilem takich... różnych, ale takich — nie?”

— To nie będzie. Stawaj.
Przypomniałem sobie, jak mówiła do sąsiadki: „Ostatnio bez tych wyskoków. Nawet gdy wróci o dziesiątej, prze-praszam. Zmienił się. Ufam”.

— Stawaj.
Zahamował. Zapłaciłem i pośpiesznie poszedłem do domu. Piechotą. Świt szczyrzył zęby.

KURTYNA



wierały się cegły, papiery i — na pew-no — puszkki po konserwach. Z tymi zardzewiałymi puszkami to jest tak, że utykamy je wszędzie, aby podkreślić nastrój, ale tam chyba leżały napraw-dę. Małi chłopcy zbierają te puszkki, dźturawlią gwoździem, umocowują na drutach i rozpalają w środku ogień. Biegają potem kręcąc nimi ze świstem i każdą n'e wiadomo komu. Sam też bawiłem się w ten sposób, kiedy mieszkałem na przedmieściach. Jesienią kradliśmy buraki — brało się kij od-powiednio długi, by furman nie smagnął batem, na końcu drąga wbijało gwoździ i dziobało buraki z bezpiecznej odległości. Czasem na gwoździu odnaj-dywałeś dwa czy trzy i ustanawiałeś aktualny rekord. Ale wtedy nigdy nie wychodziłem tak rano i nie widziałem kobiet o kłocowatych nogach, obrymich zadach i opadłych od fizycznej pracy brzuchach, które w gumowcach i ku-

się z wolna zielony samochód. Na błot-niku — wgiętym kiedyś i już wykle-panym — widniała czerwona plama nadająca mu ochronną barwę. Taksów-ka wyjechała tyłem i ustawiła się rów-noległe do parkanu, a kierowca o nala-nej, czerwonej twarzy wysiadł, pogrze-bał w bagażniku i wsiadł na powrót.
— Czekaj pan, wrzasnąłem.
Drgnął i otaksował mnie wzrokiem, mierząc mnie od butów do okularów.
— Aha, mruknął, a potem głośno: — Co? — głos miał taki, jakiego się spodziewałem: niski i ochryply.
— Kurs, kursik.
— Dobra, dyrektorze — zerknął pró-bując wyczytać, czy trafił.
„Może być dyrektor — pomyślałem — ty też potępiasz, ale to bez znaczenia. Tyram więcej niż ty razem z tym w gaciach. Nie wierzysz w taką pracę. Nie możesz pojąć, że człowiek wolał-by czasem łopatą albo samochodem od-

dziesięć kiedyś do domu później, to za-baczysz...”

Zadecydowałem, że w ogóle nie pój-dę teraz, może aż w południe, udam zde-nerwowanego: „zatrzymano mnie w re-dakcji, była pilna robota. Widzisz, po-winniśmy mieć telefon, dobra rzecz taki telefon...” Oderwałem się od kio-sku i dotknąłem miejsca, gdzie opiera-ły się plecy — było ciepło. Popatrzyłem jeszcze raz na okno i odszedłem wol-no. Ręce wsunąłem głęboko w kiesze-nie, a najpierw postawiłem kolnierzą płaszczka, by zakryć krawat. Niedługo miało zaświtać, a taki facet w krawa-cie nigdy nie wygląda przyzwoicie, gdy inni idą do pracy, i różnie się o nim myśli.

Wyszedłem na łaki. Tutaj nie było latarni i zauważało się koniec nocy, po-żerał ją świt. Kontury domów wyglą-dały widmowo, jak mgły, trochę jakby nieobudzone, a trochę jak z Andersena. W osiedlu, po drugiej stronie tej ziele-nej dziury w środku miasta, zapłonęły okna. Gdyby patrzeć tylko na nie, pom-ijając mgły nadrzeczne, zdawałoby się: wieczór. Zmierzch i świt mają pewne cechy wspólne, lecz tylko for-malnie, gdybym przyszedł wieczorem, wszystko byłoby w porządku. Siedzie-libyśmy jeszcze jakiś czas w kregu lampy, sączącej ciepłe światło, ciepiej-sze jeszcze od abażuru, który podarow-ał nam znajomy malarz. Potem to światło bym zgasił i nastałaby naj-cieplejsza noc, a jeszcze później sen. Dawniej często wracałem o świecie, na-wet gdy była już ona — dziewczyna o szalonym temperamentie i chłodnych nerwach. Rozpalała najpierw, pozwała-ła się całować i w pewnej chwili spo-glądała na zegarek, zwykle wskazywał na kwadrans dziewiątą. „O dziewiątej muszę być w domu” — mówiła. Kiedy odeszła, szedłem pić albo na dziwkę, albo i to, i to. Trzewiłyśmy z sobą przy nich, nienawidziłem za to, że są tak jak ona kobietami, a mają inne twarze. Pijany — użalałem się nad so-bą! Dmuchały mi w nos tytoniowym dymem. „Ona ci kiedyś puści albo zechce żebyś się ożenił”. Głaszały mnie pod brodą: „Ładny jesteś chłopczyk, przynajmniej dla mnie bardzo ładny”.

Oparłem się o poręcz mostu i patrzy-łem na wodę, wionął stamtąd chłód. Fale niosły kłęby brudnobiałych pian, o których zawsze myślałem, że mają jakiś związek z rybami, wstydzącymi się tych pian i dlatego wydalającymi je nocą, wiedziałem też o cukrowni, która wypuszczała tę pianę i przez całą noc zasmradzała miasto. Wolałem jed-nak przypisywać zjawisko rybom i na-dawać mu tajemniczy posmak, często robiłem tak z rzeczami dziwnymi.

Posłyszałem za sobą dudnienie desek mostu. Mężczyzna, jeden z tych w za-smolonych marynarkach i gładko na czaszce obklepanych beretach, szedł przez most. W białej koszuli z ciemną smugą krawatu, wydałem mu się na pewno podejrzanym. Gdybym go za-pytał o godzinę, uznałby mnie za su-biekta wracającego z nocnej bibiki, któ-ry spaceruje teraz, żeby n'e zasnąć. Pomyślałby: „nie dziwnego, nawet śmieszne, jesteście podszyci tą samą bidą”. „Gówno, ja mam żonę, zamknię-te życie i wydaną książkę. Różniły się od siebie, bracie”. Sprovokowałem go blyśnięciem mankietu i Doxy.

— Która godzina? — zapytał.
— Kwadrans na piątą.

Podążył w swoją stronę, już wiedział: Wariat, megaloman, melancholij-ny maniak, albo ptaszek jakiś.

Następny wynurzył się z mgły, wy-chynął z niej miękko, zahucztał po mo-ście, łypiąc na mnie i znów wpadł w mgłę, która gęstniała w miarę jak robiło się jaśniej. Za pięć minut poja-wia się następni i każdy z nich coś sobie pomyśli. Powlokłem się w stro-nę domu. „Ona już chyba położyła się, a jeśli nie — wystarczy pomyśleć, aby wszystko poszło gładko. Jesli by ten gość z ostatniego opowiadania wplątał się w taką sytuację, zalatwiłbym mu ją z niewielkimi trudnościami, ale op-tymistycznie i byłby górą. Dobrze, ale rzeczywistość jest wielostronna. Pochodzę jeszcze trochę” — pomyślałem.

Nie wybrałem drogi, którą tu przy-bylem, poszedłem bokiem, przez taką

PRZED laty jeszcze, jako małe dziecko byłem z rodzicami w Chełmie, odwiedziłem stryjostwo, lecz niewiele mi pozostało w pamięci. Czas i późniejsze przeżycia zatężyły wszystko — tak że obecnie wybieralem się do nich jak do ludzi obcych, których miałem dopiero pierwszy raz zobaczyć i poznać*).

Wskutek pewnych powikłań w rozkładzie jazdy, zresztą podówczas bardzo częstych, nie wsiadłem do tego pociągu, który miałem zaplanowany, i przyjechałem o dzień wcześniej. Oczywiście nie spodziewano się mnie i na stacji nikt nie czekał. Pora była wieczorna, ściemniało się już zupełnie i mżył drobny, zimny deszczyk. Nieliczne dorożki, już przednio zamówione przez przyjeżdżających, zabrały swoich pasażerów i szybko odjechały z podniesionymi budami. Po bezskutecznych próbach przepięcia się do któregoś z wehikułów, pozostałem sam na placu. Wobec tego należało wędrować pieszo. Zasadniczo nie przerażała mnie ta perspektywa. Nie wiedziałem tylko o jednym, że Chełm był pozbawiony zupełnie oświetlenia na skutek awarii jednej z elektrowni. Zaś długa, prawie trzykilometrowa ulica, prowadząca do miasta nie miała ani regularnych trotnarów, ani równej, gładkiej jezdni. Skoro więc oderwałem się od stacji, znalazłem się w kompletnych ciemnościach, z góry padał deszcz, przenikał odzienie i zamazywał oczy, u dołu wyrwy napełnione wodą i błoto. O parę kroków przed sobą nie widziałem nic. Aby nie stracić orientacji i nie upaść, czepiałem się płotów przydrożnych i ścian. Nieliczni przechodnie byli zaopatrzeni w małe szklane latarki, oświetlone wewnątrz świeczką, rzucającą nieco światła pod nogi. Na zawsze pozostał mi w pamięci ten obraz nocnego miasta i te postacie snujące się po ulicach jak cienie ze śmiesznyimi małeńkimi latarkami. Jak się później dowiedziałem, wyjść wieczorem na miasto bez tej lampeczki było niebezpiecznym przedsięwzięciem, można się było narazić na połamanie nóg. Zresztą czulem to wtedy na własnej skórze. Szedłem, szedłem, potykałem się, zapadałem w jakieś nory i meliny, rozbrzyziwałem fontanny wody i błota, niepewny nie tylko grunt pod nogami, ale i właściwego kierunku swej drogi, gdyż wskazywały i objaśniały napotykanych ludzi nie na wiele się zdały wobec nieprzenikniętych ciemności u niemożliwiających wszelką orientację.

W końcu jednak dotarłem do celu. Przemoczony do kości, utyłany błotem, bardziej do jakiegoś gнома bagiennego podobny niż do ludzkiej istoty, zadzwoniłem wreszcie do drzwi parterowego domu przy ulicy Brzeskiej 5, gdzie mieszkali moi stryjostwo. Jeszcze perypetie ze służącą, która nie chciała puścić do mieszkania osobnika o takim wyglądzie, jeszcze tłumaczenia, wyjaśnienia, powitania, a co chwili wymyły, przebrany w suchą odzież, siedziałem w jasno oświetlonym dużym, ładnym pokoju przy stole, pilem gorącą herbatę i przyglądałem się dyskretnie, lecz ciekawie swej dopiero co poznanej rodzinie.

W tym miejscu muszę sobie pozwolić na pewną dygresję i przypomnieć, czym było wówczas stanowisko reagenta, już wtedy oficjalnie notariuszem zwanego. W Kongresówce za czasów zaboru sędziami i prokuratorami byli mianowani wyłącznie Rosjanie. Polacy po ukończeniu studiów prawniczych, o ile nie chcieli wyjeżdżać w głąb Rosji, mieli do wyboru tylko adwokatów albo notariów. Notariusz był osobą urzędową, sporządzał akty, posługiwał się państwową pieczęcią, a jednocześnie był wolnozawodowcem, gdyż za swe czynności pobierał bezpośrednio wynagrodzenie. Zatrudniał i opłacał dość liczny personel urzędniczy, podlegał opodatkowaniu od obrotu i dochodu. Urząd ten cieszył się powszechnym uznaniem i zaufaniem i przynosił dość znaczne zarobki. Kiedy powstała Polska, niewiele było reagentów przedwojennych, a na wolne posady powołano zasłużonych, starych pracowników, przeważnie byłych sędziów i prokuratorów. Było to pewnego rodzaju wyróżnieniem i nagrodą za długotrwałą i nieskazitelną pracę.

Z czasem atrakcyjność tego stanowiska stała się powodem do dość rozrzuconego nim szafowania i obdarzania ludzi za zasługi natury specjalnej i mocno wątpliwej. Rządy sanacyjne poszły jeszcze dalej i zniósły wymóg wykształcenia prawniczego, niezbędny dotychczas dla objęcia notariatu. Toteż posypały się nominacje, jak z rogu obfitości. Znam jedną autentyczną historię z tych czasów, która najlepiej

charakteryzuje sytuację. Do jednego z domów ziemiańskich w Kieleckiem przyjechał na polowanie minister sprawiedliwości Michałowski. Po polowaniu jak zwykle miał nastąpić bridge. Minister grał dobrze i drogo. Ku rozpaczy gospodarzy zawiódł czwarty partner. Obecni na placu do tej partii się nie nadawali. Wtedy przypomniano sobie, że rządca majątku, nie biorący udziału oczywiście w ministerialnym polowaniu, jest doskonałym brydżystą. Tylko czy dygnitarz zechce z nim zagrać. Zapytano. „Z farnalem będę grał, byle grał dobrze” — odpowiedział dostojnik. Posłano po administratora. Lecz ten stawał okoniem. „Nie jestem rejentem, bym grał z ministrami po złotówce w brydża” — odpowiedział. Skoro minister usłyszał te racje, nie namyślając się ani chwili: „Niech przyjdzie grać, będzie rejentem”. Przyszedł, zagrał i rejentem został. Nawet to była wcale niezła rejentura.

Tak, ale to nastąpiło znacznie, znacznie później. Stryj mój był rejentem od dawna, cieszył się powszechnym szacunkiem, jako porządny człowiek i świetny prawnik. Wysoki mężczyzna o srebrnych włosach i wąsach, siedział teraz naprzeciw mnie, wypytując się troskliwie o zdrowie mego ojca, z którym razem kończyli gimnazjum i by-

CHEŁMSKIE INTERMEZZO

KONRAD BIELSKI

li blisko zaprzyjaźnieni. Obok siedziała żona i córka. Stryjenka była dorodną i postawną brunetką o smagłej cerze. Kiedyś musiała być kobietą niezwykle urodziwą, ślady tej piękności jeszcze pozostały. Mogła mieć lat około pięćdziesięciu. Natomiast córka Marychna przykuwała oko niezwykle postacią. O czarnych włosach, niebieskich oczach, zgrabna, z prześlicznymi zębami i jakimś zniewalającym urzekającym uśmiechem — przypominała swą niepokojącą urodą egzotyczną orchideę, wyhodowaną i wypielęgnowaną w cieplarni. Kilkunastoletni syn Józio już spał w swoim pokoju.

Kręcili się koło nas jakieś ciotki, rezydentki, pracujące w kancelarii notarialnej stryja, kręcili się jeszcze jacyś inni ludzie. Goście, znajomi, przyjaciele. Było ciepło i widno. Pachniało zewsząd dostatkami i spokojem. Zdawało mi się, że osiągnąłem swoją Itakę. Po zmęczeniu i dramatycznych przeżyciach ostatnich dni czulem się szczęśliwy, że dłuższy okres czasu stanę tutaj, bezpiecznie i spokojnie w kręgu tych ludzi, w tej atmosferze. Ale jak w tej ormiańskiej anegdocie, stało się wszystko na odwrót.

Pierwsze dni mego pobytu w Chełmie miały charakter niczym nie zmąconej sielanki. Otoczony byłem spokojem, dostatkami i życzliwością ludzką. Miałem polecone, bym przez najbliższe dni nie myślał o niczym, wypoczywał, a inni już się o moje losy zatroszczyli. Wypoczywać było po czym, ale też i myśleć było o czym. Rodzina nasza się rozbiła, każdy gdzie indziej i nie bardzo pewny przyszłości, ja zdawałem się wyładowałem najlepiej i najbezpieczniej. Na razie więc jadłem, spałem i czytałem. Potem zacząłem się rozglądać po otoczeniu.

Brzydkim i nieciekawym miastem wydawał mi się ten Chełm. Ulice wąskie, bardzo źle brukowane, pełne grząskiego błota, domy przeważnie niskie i odrapane. Pora jesienna niewątpliwie nie dodawała temu wszystkiemu wdzięku. Jedynym miejscem urodziwym była tak zwana góra katedralna. Dość wysokie wzgórze, panujące nad całym miastem, ładnie zadrzewione, — gdzie znajdowała się katedra o nieciekawej, banalnej architekturze, dość obszerna, z oddzielnie położoną dzwonnica. Świątynia ta uprzednio była cerkwią prawosławną, chyba też o randze katedry. Nowo powstałe państwo polskie rewindykowało ją i oddało we władanie duchowieństwu katolickiemu, gdyż przed zaborami do niego miała należeć.

Dziwnie były pogmatwane sprawy wyznaniowe w tej ziemi chełmskiej. Ludność mieszkająca tam polska i ukraińska. Byli więc katolicy, prawo-

awni i unici. Z tymi unitami był największy kłopot. Rządy carskie ich nie uznawały i zamierzały nawrócić na łono kościoła prawosławnego.

Nawracanie to odbywało się za pomocą wszystkich środków administracyjnych, przemocą i gwałtem. Jak to zazwyczaj w takich wypadkach bywa, ludność okazała opór niebywały. Uparła się trwać przy swym wyznaniu. Ani obietnica wielkich korzyści materialnych, ani coraz gwałtowniejsze akty przemocy, nie mogły wskórać. Chrzczyny, śluby i pogrzeby odbywały się potajemnie, nocami w zakonspiroowanych kaplicach. Rząd ze swej strony odpowiadał coraz ostrzejszymi represjami. Na górze w Chełmie osadzono biskupa Eulogia, osławionego fanatyka i czarnosecińca. Wraz z nim zjechała do miasta cała chmara popów. Zadziwiająco ilu ich tam wtedy było w tym małym mieście. Sprawy te są przecież znane, a w owych czasach pasjonowały całe społeczeństwo polskie, które oczywiście było po stronie prześladowanych. Pisał o tym Reymont, pisali i inni. Zaciekle walka o rząd dusz trwała aż do wybuchu wojny.

I znów należało się zadumać nad działaniem czasu. Przecież upłynęło zaledwie kilka lat, a już nawet echo tych łun przebrzmiało. Fanatyzm religijny nie podsycał niczym z zewnątrz wygasł jak ogień na wietrze. Skoro zabrakło prześladowców, zabrakło również męczenników. Unicy, pozostawieni sobie, wybrali bliższy sercu obrządek. Problem przestał istnieć. Popi odpłynęli wraz z cofającymi się wojskami rosyjskimi, w katedrze na górze zaplanował biskup katolicki.

Tego właśnie biskupa miałem okazję poznać niebawem, gdyż był on dość częstym gościem w domu stryjostwa. Nazywał się Jelowicki. Bardzo przystojny, rudawy starszy pan, pochodził z Ukrainy, gdzie rodzina jego miała znaczne majątki. Ponieważ moje ścieżki prowadziły stamtąd, laskawie zaczął ze mną rozmowę i wypytował, co się właściwie tam dzieje. Rewolucję uważał za dzieło szatana, wierzył w jej rychły koniec. Zresztą był pełen niepokoju o losy Polski, gdzie „rej wodzą Żydzi, ludowcy i socjaliści, właściwie niewiele się różniący od bolszewików”. Do tej kategorii ludzi zaliczał przede wszystkim Piłsudskiego. W ogóle, jak już mogłem się zorientować, ówczesny naczelnik Państwa nie cieszył się dobrą opinią w tym domu. Natomiast kultem otaczano osobę generała Hallera. Dokoła jego postaci roztaczała się mgiełka legendy. Wielokrotnie opowiadano o jego niedawnym pobycie w Chełmie. Jak się zachowywał, co jadł, co mówił, oczywiście wszystko w superlatywach. Ponieważ na bankiecie urządzonym na jego cześć stryjenka siedziała obok generała, zamieniła z nim parę słów, wysłuchała kilku komplementów, splendor tego zdarzenia splotywał na cały dom i ugruntował na trwałe orientację polityczną.

NA CODZIEN wskazywki w tej materii dawał „Kurier Warszawski”. Jak już uprzednio zaznaczyłem, rozpolitykowanie było wielkie. Istniało jednak tyle partii i ich odcieni, że nie sposób było się w tym chaosie zorientować. Tym bardziej, że temu rozpolitykowaniu towarzyszyło zupełnie niewyrobienie polityczne większości społeczeństwa. W tych warunkach ogromną rolę odgrywały dzienniki, które wszelkimi sposobami starały się pozyskać zwolenników i wyznawców.

„Kurier Warszawski” w tym domu odgrywał niepoślednią rolę. Był nauczycielem, doradcą i drogowskazem. Z niecierpliwością oczekiwano tej grubej plachty, w której lwia część zajmowały ogłoszenia i nekrologi. Czytano ją od deski do deski. Nawet felieton codzienny, nawet dział szaradowy. Ale za to tam znajdowano odpowiedź na wszystkie pytania, rozwiązania najbardziej zawiłych problemów z dziedziny polityki wewnętrznej i międzynarodowej. Wartość i znaczenie ludzi określano za pomocą kryteriów „Kuriera”. Ze szpałt tego pisma można było poinformować, które pozycje z literatury i sztuki warte są bliższego poznania, a które nie przedstawiają żadnej zgoła wartości lub slegą „zgorszenie i wydziałają niezdrowe miazmaty”. Te miazmaty było to określenie już podówczas modne, które bardzo długo pozostało w użyciu. „Kurier” był katechizmem i wyznaniem wiary znacznej części mieszczańskiej inteligencji. Trzeba oddać sprawiedliwość, że były pisma endeckie znacznie skrajniejsze i głośniejsze, demagogiczne i wręcz bezcelne. „Kurier” trzymał się środka, wprawdzie nie politycznego, ale tak zwanego „złotego środka”. Przyczyna tego tkwiła oczywiście w bodźcach ekonomicznych.

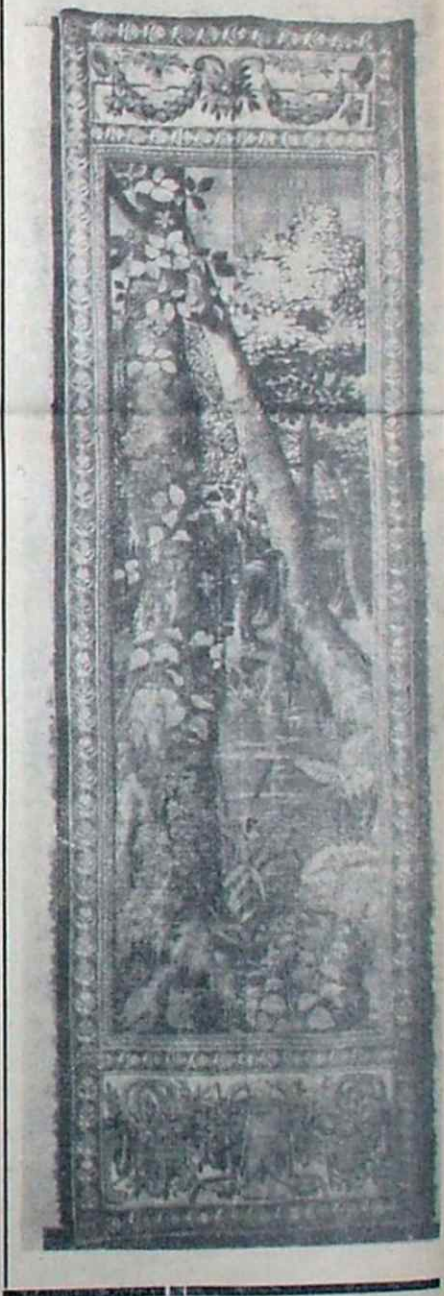
ARRASY W LUBLINIE

IRENA ISKRZYCKA

Wszyscy pamiętamy na przestrzeni ostatnich paru lat nieustanne, usilne starania Rządu Polskiego o zwrot skarbów narodowych znajdujących się w Kanadzie. Wszyscy mamy w pamięci ich częstotliwy zwrot w ciągu 3 minionych lat. Największym wydarzeniem dla całego kraju stał się jednak dopiero moment powrotu do Polski najcenniejszej kolekcji skarbów narodowych, obejmującej między innymi arrasów wawelskie, które powróciły do kraju w styczniu bieżącego roku. Część odzyskanych arrasów wyeksponowana została w Muzeum Narodowym w Warszawie, którego Dyrekcja doceniając ogromne zainteresowanie społeczeństwa w całej Polsce udostępniła innym ośrodkom 4 arrasów wawelskie, stanowiące uspaniałą pozycję Narodowej Galerii Sztuki Polskiej Warszawskiego Muzeum. Po wystawach w Olsztynie i Łodzi arrasów zawitały do Lublina dzięki staraniom Dyrekcji Muzeum Lubelskiego i wyeksponowane zostały w sali Muzeum na Zamku.

4 arrasów jagiellońskie wchodzi w skład większej serii arrasów zamówionych przez króla Zygmunta Augusta w r. 1553 u mistrzów tkactwa arrasowego w Brukseli. Zwierzęta na tle

(Dokończenie na str. 11)



Pismo czerpało znaczne dochody z ogłoszeń. Podobno było nawet samowystarczalne. Wskutek tego jakiś opozycyjny, zbyt bojowy artykuł, który mógł spowodować konfiskatę nakładu pociągał za sobą olbrzymie straty materialne. Jak mi po latach opowiadał Jerzy Koszoczek, pisarz, który i w „Kurierze” umieszczał swoje utwory, istniała tam nader skomplikowana sieć cenzury wewnętrznej. Badano każdy artykuł nie tylko pod kątem politycznym, ale również, czy nie zawiera w swej treści czegoś, co mogłoby się nie podobać i urazić możniejszych i zamożniejszych klientów, których ogłoszenia stanowiły o prosperowaniu dziennika.

Kto nie chce się uczyć

ELŻBIETA ROSIAK

Jednym z niewątpliwie ważnych i najpopularniejszych problemów związanych z uchwałą KC PZPR na VII Plenum w sprawie reformy szkolnictwa, wokół których toczą się dyskusje w szkołach, przez radio i na łamach czasopism — jest sprawa przedłużenia nauki w szkole podstawowej. Prawie wszyscy dyskutanci jednomyślnie stwierdzają, że przedłużenie nauki o rok da młodzieży wiele korzyści w rozwoju umysłowym i fizycznym. Co jednak o tym myśli sama młodzież, a konkretnie klasy piąte, które obejmie reforma szkolnictwa?

Próbą odpowiedzi na to pytanie jest ankieta przeprowadzona w jednej ze szkół lubelskich, która objęła klasy piąte. W ankiecie tej wzięło udział 44 uczniów (w tym 11 dziewczynek). Obie klasy różnią się zasadniczo poziomem, a także wiekiem uczniów i ich pochodzeniem socjalnym.

Z klasy V a w ankiecie wzięło udział 22 uczniów, w tym 11 dziewczynek. Młodzież tej klasy osiąga dość dobre wyniki w nauce, wyróżnia się pod tym względem wśród innych klas. Warunki domowe uczniów są dobre. Rodzice żyją zgodnie i interesują się dziećmi. Mimo tych korzystnych warunków uczniom klasy V a — nie bardzo przypadł do gustu projekt przedłużenia nauki szkolnej.

Za przedłużeniem nauki wypowiedziało się wprawdzie 13 dzieci (6 chłopców i 7 dziewczynek), ale za zachowaniem istniejącego stanu rzeczy głosowało 9 (5 chłopców i 4 dziewczynki). Motywy, jakimi kieruje się młodzież wypowiadająca się za przedłużeniem nauki szkolnej, to przede wszystkim zdobycie wiedzy z różnych przedmiotów, a w związku z tym korzyść w dalszej nauce i życiu. Oto ciekawsze wypowiedzi na ten temat:

„Mnie się zdaje, że przez ten jeden rok skorzystałabym wiele. Poznałabym wiele rzeczy, które teraz dla mnie są nieznanne. Teraz wszystkie dzieci muszą korzystać ze szkół, więc ten jeden rok to nie jest dużo. Tak ten czas szybko mija, że nawet nikt nie wie, jak skończymy szkołę i będziemy świątecznymi ludźmi i obywatelami Polski. Więc chciałabym, aby te 8 lat było dla mnie z pożytkiem”.

„Zdaje mi się, że z jednej strony jest dobrze, że będzie przedłużona nauka, gdyż więcej skorzystam. I łatwiej mi będzie w życiu. Z drugiej strony zdaje mi się, że trzeba będzie się długo uczyć. A może to będzie dobrze?”

„Chcę, żeby naukę szkolną przedłużono o jeden rok, bo lubię bardzo matematykę. Chcę również, żeby przedłużono jeden miesiąc wakacji. W ósmej klasie zdobędę więcej wiadomości”.

Często uczniowie pragną przedłużyć naukę również i dlatego, ażeby uzupełnić braki w matematyce czy historii.

„Ja chciałabym, ażeby naukę przedłużono o rok. Dlatego, bo mam braki w matematyce i boję się, ażebym nie zdała do innej szkoły”.

Drugi motyw, którym kieruje się młodzież wypowiadająca się za przedłużeniem nauki w szkole to życie się z kolegami, nauczycielami, a nawet budynkiem.

W omawianej klasie jest jednak 9 uczniów (5 chłopców i 4 dziewczynki), którzy nie chcą się uczyć dłużej o rok. Dlaczego?

Niektórym po prostu nudzi się, ale i ta nuda ma zawsze swoją przyczynę: słabe wiadomości, zwłaszcza z matematyki i rosyjskiego, brak zdolności do nauki, a stąd niepowodzenia w szkole, chęć jak najszybszego opuszczenia szkoły podstawowej, by być bardziej dorosłymi itd.

Zacytujmy kilka wypowiedzi przeciwników reformy:

„Nie chciałabym, ażeby przedłużono naukę o rok, ponieważ po siedmiu klasach mogłabym iść do szkoły zawodowej”.

„Nie, dlatego bo nie mam zdolności i mnie się nudzi i za daleko chodzi”.

Niewątpliwie pocieszającym objawem w tej klasie jest to, że w większości młodzież chce jednak przedłużenia nauki, gdyż zdaje sobie sprawę z tego, że gruntowniejsze i rzetelniejsze wiadomości ułatwią jej dalszą naukę i pozwolą na realizację wytkniętych celów życiowych.

Jak się jednak przedstawiają wyniki ankiety z drugiej klasy piątej, do któ-

rej uczęszczają dzieci mające po 14 lat (6) i po 15 lat (14), a więc te, które zaliczamy do tzw. „przerośniętych”.

W klasie tej skupieni są uczniowie z różnych dzielnic Lublina, którzy wychowawcy i uczącym przyczyniają poważnych kłopotów. Wielu spośród tych uczniów ma na swym koncie kradzieże, a nawet tygodniowe ucieczki z domów. Rodzice tych dzieci w wielu przypadkach nie żyją ze sobą, kłócąc się, a jedna z matek popełniła nawet samobójstwo. Dzieci te są życiowo bardzo dojrzałe, niejedno widziały i wy-dawałoby się, że przejęte ciężkimi warunkami materialnymi rodziców czy brakiem zgody w domu powinny garnąć się do nauki — do szkoły. Przecież szkoła stara się im stworzyć takie warunki, jakich często nie mają w domu rodzinnym. Młodzież czuje to, ale z utęsknieniem czeka na opuszczenie murów szkolnych. Ankieta wykazała, że na 20 chłopców wypowiadających się w ankiecie — aż 18 głosów padło przeciw przedłużeniu nauki, a tylko dwa głosy opowiedziały się za reformą.

Aż 6 uczniów z niecierpliwością czeka na „otrzymanie papierka ukończenia szkoły VII-klasowej”, bo to im ułatwi wstąpienie do zawodu. Oto co piszą na ten temat chłopcy:

„Nie chcę chodzić do szkoły o rok dłużej. Dlatego, bo od razu pójdę do zawodu po siedmiu klasach i nie będzie mi to potrzebne”.

„Nie chciałbym chodzić do takiej szkoły, bo trzeba chodzić w kołnierzyku i fartuchu. Nie idę do szkoły średniej, tylko żebym miał papiery z ukończoną VII klasą”.

„Ja nie chcę, żeby szkoła była przedłużona o jeden rok. Dlatego nie chcę, bo pani każe nosić białe kołnierzyki i nudzi mi się w tej budzie”.

Mniejsza o zdobycie wiadomości. Pie-niądze, a w związku z tym usamodzielnienie — to cel do którego zmierza większość chłopców z tej klasy. Wielu z nich w czasie rozmowy z wychowawcą stwierdza, że wstydzi się za swój dom, za rodziców, ucieka nawet, gdy ktoś z nauczycieli przyjdzie do ich domu i chyba dlatego dzieci te chcą po-

ukończeniu siedmioletniej szkoły, bez jakichś ambicji kontynuowania nauki, stanąć do pracy w charakterze hydraulika czy szofera. Inny motyw występujący w wypowiedziach tych chłopców, który odstrasza ich od szkoły — to noszenie kołnierzyków, fartuchów i tarcz szkolnych. Krępuje ich to i o ile w szkole sumiennie je noszą, bo nauczyciele jednomyślnie wymagają tego, o tyle bezpośrednio po lekcji — fartuch wędruje do teczki, a kołnierzyk do kieszeni lub pod marynarkę. Uczniowie ci zdają sobie sprawę z tego, że wyglądem zewnętrznym i wiekiem nie pasują do szkoły podstawowej i dlatego reforma szkolnictwa smuci ich, pogłębia tragizm sytuacji.

Ciekawe i zarazem charakterystyczne w ich wypowiedziach jest to, że nie troszczą się oni absolutnie o to, co wynoszą ze szkoły i nie widzą przydatności nauki w obranych przez siebie zawodach. Jest to chyba wystarczający alarm dla nauczycieli, ażeby starali się przełamać niechęć chłopców do nauki, wykazać jej rolę i przydatność w życiu. Trzeba też w ten sposób pokierować wychowaniem tych „przerośniętych” dzieci, by nareszcie zrozumieli, że ukończenie VII klasy — to nie wszystko.

Jednak i wśród tych 20 chłopców znalazło się 2, którzy chcą kontynuować naukę w kl. VIII i chyba celowe będzie przytoczenie tych wypowiedzi:

„Tak, chciałbym, ażeby nauka była przedłużona, gdyż mógłbym zdobyć więcej wiedzy z języka polskiego i z podstawowej szkoły wyjść z pełną głową wiedzy”.

„Tak. Ponieważ gdy się spotkam z techniką, to nie będę wiedział, co do czego, a jeżeli wyjdę ze szkoły po ośmiu klasach, a nawet dziewięciu, to będę umiał się ze wszystkim obcho-dzić”.

Nic jednakże nie zmieni faktów, a faktem jest to, że na 44 uczestników ankiety — aż 29 głosów padło przeciwko reformie, a tylko 15 za nią. I to jest sygnał ostrzegawczy dla szkoły i domu, sygnał, który wzywa do podjęcia wspólnego wysiłku, by reforma zastała młodzież przygotowaną, świadomą dobrą, jakie niesie ze sobą klasa ósma. Przysłowie mówi, że „z niewolników nie ma robotników”. Zgoda. Nie chcemy niewolników w klasach VIII, chcemy natomiast dzieci, które podejmą ten dodatkowy rok nauki ze zrozumieniem i z ochotą. Chodzi przecież o ich własne dobro.

DEBIUT PRZEKORNY

ZBIGNIEW PĘDZIŃSKI

Gdybyśmy nawet znał osobiście Konrada Eberhardta, zestawienie tego to-mu opowieści z walki Wojsk Ochrony Pogranicza z dotychczasową literacką biografią autora „Nazajutrz po wojnie” musiałoby mnie uderzyć niespodziewanym kontrastem. Eberhardt, młody, wywodzący się z Lublina romanista z wykształcenia, subtelny znawca i krytyk literatury francuskiej z powołania, wytrawny recenzent teatralny i filmowy z zawodu, wstępuje w szranki beletrystyki pisząc nie wyrefinowaną estetycznie, modną „antypowieść”, nie efektowny a rentowny scenariusz, nie wreszcie kunsztowną, koneserską sztukę teatralną (przetłumaczył wszak wraz z Marią Bechcysz-Rudnicką „Krzesła” Ionesco i „Zło krąży” Audubertiego), ale oszczędne i zwarte scenki batalistyczne, plastyczne sylwetki żołnierzy i oficerów WOP-u, ich szare trudem codzienności życie i barwne wspomnieniami, zakurzonym już w dokumentach i kronikach, heroizmem, bohaterstwem. Zbyt wiele w tym dobrej, pisarskiej roboty i warsztatowej wprawy, by podejrzewać w „Nazajutrz po wojnie” wygodnictwo, dorobkiewiczostwo tandety — czyżby więc kryła się w tych opowiadaniach zdrowa, bo ambitna przekora?

Niewątpliwie tak — i to taka przekora, która jest wartościową społecznie, a rzadką niestety u naszych nowelistów i nie tylko nowelistycznych debiutantów, postawą twórczą. Przekornie wygląda już sam wybór tematu: dotychczas niestety — plan konkursu na powieść Wydawnictwa MON-u zmieni na pewno na lepsze, ale od razu nie naprawi tych proporcji — nasza literatura o żołnierzach i dla żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego miała charakter odmiennie żalosnej tandety (np. „Odcinek południowy” Jerzego Korczaka), albo wartościowego, suchego często jednak dokumentu, zapisu kronikarskiego. „Temat żołnierski”, tak jak „wiejski” czy „morski”, pozostaje dotąd ubogi w młodą kadrę pisarską, a opracowujący go, nieliczni w brzydzeniu się tandetą pisarzy starszego pokolenia zniechęcają się osamotnieniem, albo sztywnieją w niezawinionym profesjonalizmie. W tej sytuacji decyzja Eberhardta obrania właśnie takiego tematu dla nowelistycznego debiutu odznacza się czymś więcej niż młodzieńczą brawurą i przekorą: odwagą i społeczną odpowiedzialnością traktującego uczciwie własne powołanie pisarza.

Taki temat współczesny, społecznie zaangażowany bywa jednak często — oto nie mniej ważna przyczyna ideowego i artystycznego uwiadu literatury o wojsku, o wsi, o morzu — po-czytywany za „samograj”, do którego nie trzeba dokładać własnego wysiłku intelektualnego, pracy, artystycznej wyobraźni. Debiut Eberhardta nie zawiera scen z takiej pisarskiej „komedii omyłek”: mimo pewnych nie-wyprawności warsztatowych (trochę konwencjonalnie sztywna i monotonna narracja w pierwszej osobie) jest w tych opowiadaniach wiele psychologicznej przenikliwości, kronikarskiej uczciwości w rysowaniu bohaterów i tła, jest rzadka u początkujących w trudnej sztuce noweli zrecenzję kompozycyjną, oszczędność ekspresji, uroda stylu. A co chyba najważniejsze: „Nazajutrz po wojnie” przenika naprawdę głęboko, nie tuzinkowy humanizm, czuły, wrażliwy patriotyzm, celny, daleki od deklaratywności realizm społeczny — postawy, których u nas niektórzy młodzi, a i starzy pisarze, uczą się czasem długo, ale bez twórczego skutku.

Wojskom Ochrony Pogranicza należało się piękne, literackie świadectwo ich dni krwi i chwały, młoda polska nowelistyka zasługiwała na lekcję społecznego zaangażowania w temacie, artystycznej odpowiedzialności w realizacji. Dobrze, że tego świadectwa i takiej lekcji udzielił Konrad Eberhardt swoim debiutem — słuszenie przekornym...

Konrad Eberhardt: „Nazajutrz po wojnie”. Warszawa 1960, Wyd. MON.

STEFAN WOLSKI

Ballada o miłości

Milosne szepty jesieni
z ostatnich liści wróżyły
konieczynką szczęśliwą
albo cierpieniem:

żółty płomień na gałązki końca
bez nadziei, bez jutra, bez siły.

Dlaczego ta złością sprawa,
tak niepewna lub jasna w spełnieniu,
nigdy nie jest ostatnia
— zachmurzona, zachmurzona tak
często —
choćbyś sereą brylanty dawał.

Ona ma lat tysiące...
I nawet to słowo: „nigdy”:
czarna chusteczka poezji,
a przedtem to słowo: „kocham”,
gdy ptakiem jest na uwięzi
— smutek nieustający.

A miłość była w zawiązaniu krawata,
we włosach pachnących lawendą,
nawet w jesiennych na stole kwiatach,
które już żywe nie będą.

Tu przywiódł ją...
Amora skrzydłem w lot przeznaczenia...
Słowami, które nie były,
westchnięciem niebo i ziemia;
i ręce znalazły swą mowę:
„moja miła... mój miły...”
Dwa policzki ku sobie w seansu
ciemności

jak jabłka obie połowy...
Olśnieni skarbem istnienia,
cofnęli w błękit radości,
chwytali sere uderzenia.
Telewizor mrugał intymnie
— cynik — ekranem oka,

a dłoniom było wciąż zimniej,
gorącym dłoniom na opak.

Wtedy zwyczajne ruchy:
muśnięcie włosom,
ramieniu objęcie miękkie,
pion słodczy podnoszą,
i już nie może być piękniej...

I gdy tego im nagle mało,
w tłumie widzów patrzący — ślepi,
udawali, że nie się nie stalo,
nawet potem, na ulie stepie.

Och, chwile — już teraz kamienne —
wysokości poręczą wiązane,
młeczeniem bezkonne,
ujęte w studzienne ślany
opuszczoną północą żaluzją,
z otwartymi ciemnościami drzwiami,
powiedzieć, powiedzić ludziom...
(wszak kamień nigdy nie kłamie)
jak zupełnie usta w usta się wdarły,
zagarnęły, wehłoneły, przepadły...
Księżyc stanął, zdjął chmur kaptur
czarny.

zatrzepotał żrenicy zwierciadłem,
i jak słodczy przybiegła zdyszana:
„ukochany... kochana... kochana...”

Och, zaświadczyć kamienną pamięcią,
wy z kamienia a przecie wzruszone,
jaki błysk waszą drogę przeciął,
jaki kwiat został wtedy zbudzony...

Potem...
Oto słowo, które skrzydłem leci.
Wiatr przybiegił, przebierał firanki,
świeciło się w oknie naprzeciw
i w oczach sennych kochanki
lśnił tkliwość miękki aksamit,
w dwóch klejnotach, które zaszyły
lżami.

Noc po dniu
wofasz ją dziś po imieniu,
i dniem, co się mrokiem ulatnia,
konieczynkę podajesz złudzeniu;
też ta sprawa nigdy nie jest ostatnia.

PARAŃSKA BAKALARKA

(Dokończenie ze str. 3)

kierowniczeki. W szkole tej nie byłam na lekcjach, bo zawsze coś stało na przeszkodzie. Ma ona opinię antyreligijnej, co zapewne jest plotką; faktycznie tylko religii tu nie uczą. Słyszałem też zdania odwrotne, że szkoła jest bardzo dobra i bardzo rozwijająca. Znam parę młodych osób, które zawdzięczają co umiejają pani Krakówowej, i muszę powiedzieć, że zrobiły na mnie wrażenie inteligentnych i rozwiniętych".

Ale możemy jeszcze posłuchać, co mówią Jej wychowankowie. W gazecie wychodzącej w Kurtybnie „Polak w Brazylii” (tej samej, którą przez pewien czas redagował Jan Hempel) w numerze 24 z 14 czerwca 1907 roku na stronie 5 czytamy następujący list do redakcji:

„Redakcja „Polaka w Brazylii”! Szanowny Panie Redaktorze, niechaj pozwoli mi pan nakreślić kilka słów, które nam wdzięczne serce dyktuje dla naszej dobrej nauczycielki, pani Janiny Kraków. Uczono nas czcić ojca i matkę, a miłować bliźniego, a któż bliższy po rodzicach, jeśli nie nauczyciel lub nauczycielka, a tym bardziej jeśli ona nie dla zarobku uczy.

Pani Janina Kraków, nasza dobra, ukochana nauczycielka, przez kilka lat w swoim domku pod Kurtybą poświęcała się uczeniu dziatwy polskiej. Uczyła nas p. Kraków czytać, pisać i rachować, wykładała geografję i historję polską; przykładowymi wyrazami i powiastkami nauczała

nas, abyśmy się przyzwyciężyli zachowywać miłować naucej i prawdziwie mówili; aby być szanowanymi nawet od wrogów naszych. Czymże możemy zapłacić za ten pan z takimi dobrymi lekcjami i radami? Wdzięczni jej będziemy na zawsze. Bardzo smutno nam się zrobiło, gdy nam p. Kraków oznajmiła, że zamyka szkołę, bo jedzie do kraju, do swej rodziny.

Kreśląc tych kilka słów napisanych ze szczerem i wdzięcznym sercem dla naszej dobrej nauczycielki p. Kraków, prosimy łaskawie p. Redaktora, aby ogłaszając te cenne i święte zasługi p. Kraków, podniósł tym jej cześć i sławę wobec wszystkich prawych Polaków w Brazylii i w Polsce, za co my panu serdecznie wdzięczni będziemy.

Z szacunkiem

Jadwiga Wajsja, w imieniu wszystkich uczniów i uczennic szkoły pani Kraków".

Ten „głos ludu” — właściwie dla nas zupełnie anonimowy, bo nie przecież nie wiemy o jego autorce ani o współtowarzyszach, jest w swoim nastroju, tonie, szacunku zgodny z tym, co możemy wyczytać w listach do Janiny Kraków, jakie się zachowały po Janie Hempelu, a fragmenty z nich wydrukowano w książce Wandy Papiewskiej „Jan Hempel”. Wspomnienia siostry (Warszawa 1958). Przybywszy do Brazylii znalazł się zupełnie bez żadnych środków do życia. Od p. Kraków właśnie doznał wielkiej pomocy i ona wskazała mu drogę pracy nauczycielskiej na jednej z kolonii polskich. Przyjaźń Jana Hempela z Janiną Kra-

ków, bardzo trwała i serdeczna (w listach nazywał ją „Drogą Muńcia”), i bliski kontakt — utrzymywały się także po powrocie Hempela do Polski. W książce wspomnianej cytowane są listy z lat 1914 i 1921; — świadczą one o głębokim przywiązaniu i wdzięczności, a szczerości, z jaką Hempel pisał o swoich sprawach i „de publicis” do swej niegdyś opiekunki, to najlepszy dowód, jak cenili sobie ludzie bardzo różnych poziomów jej życzliwość i prawdziwe zainteresowanie dla drugiego człowieka.

Tym zainteresowaniem darzyła niezmienne przez całe życie każdego, co do kogo przypuszczała, że reprezentuje jakiegoś wartości, i chyba zresztą każdego, kto mógłby potrzebować jakiegokolwiek jej pomocy. Dowodem może być wspomniany na wstępie list do mego brata — trzy czwarte dotyczą spraw ludzkich, jedna czwarta tylko osobistych.

Zacytuję tylko dwa fragmenty — jeden dotyczy Lublina. P. Kraków (trzeba pamiętać, że pisze to osoba osiemdziesięcioletnia do młodego znajomego) radzi:

„...nie podoba mi się, że Pan narzeka na nudy. ...Proszę sobie nie pozwalać na nudy, zupełnie to jest Panu wzbudzone. Zuprzedź studiów w Uniwersytecie, niechaj się Pan zajmie opisem Lublina. Pan kocha swój Lublin, zna go Pan, a zatem trzeba innemu osobom uprzyjemnić poznanie tego starego historycznego grodu. Niechaj Pan zbiera notatki, widoki, i wyda (za pośrednictwem Tow. Krajoznawczego), opis Lublina. Chciałabym nabyć taką książeczkę, lecz ani w Lublinie, ani w Warszawie tego nie znalazłam, a przypuszczam, że każdy kochający swój kraj, chciałby mieć zebrane wiadomości o tem lub innym mieście. Pan ładnie, zajmując się wyrazem, jestem więc przekonana iż książeczka o Lublinie przez Pana napisana, zyska ogólne uznanie, a pisanie jej dostarczy Panu wiele chwil przyjemnych i pożytecznych, że się tworzy rzecz pożyteczną i trwałą”.

To ostatnie zdanie zasługuje jak najbardziej na podkreślenie — przekonanie o konieczności, obowiązkowo moralnym tworzenia „rzeczy pożytecznych i trwałych” musiało być dewizą jej życia tak owocnego i pracowitego.

Cechowała ją niezwykła świeżość wrażliwości, pogoda, umiejętność odkrywania piękna wokół siebie, jakiegoś mądrego patrzenia na wszelkie okoliczności życia. Jeszcze jeden cytat z listu z 25 kwietnia 1933 roku:

„A teraz coś niecoś o sobie. Jest mi dobrze w Chełmie. Miasto jest śliczne, renesansowo gotyckie, czyste, skandalizowane, ma uspaniałe parki, z których widok daleki na dolinę Wisły, na Wisłę, na wieś i miasteczka (Świecie i Grudziądz). Mieszkam na ulicy Szkolnej, tak słusznie nazwanej, bo kilka szkół mam w sąsiedztwie, — mam dwa

ładne pokoje z balkonem, odnajmuję je od starej panny, arystokratki, dziewczotki która stanowi uspaniałoty typ tej mieszczyńskiej charakteru, mam radio (to samo, które mi kochany Gutek urządził w Jaszczołcu). Radio jest cudownym wynalazkiem, zwłaszcza dla osób wiekowych, niemogących się udzielać życia poza domem. To łącznik ze światem, urozmaicenie każdej godziny dnia. Mam pozatem kilka osób znajomych, — dają trochę lekcji francuz, w pomoc młodzieży, — mam książki z czytelnik, dzienniki, listy od osób kochanych, — słowem urządziłam się na starość jak nie można lepiej. Stękam po cichu na różne niedomagania zdrowia, lecz w moim wieku to nieuniknione. Mogłyby być lepsze warunki materialne, bo jest lichy z tem, że pieniądze brazylijskie mają teraz tylko połowę swej wartości, z powodu chaosu politycznego w Ameryce Południowej”.

Wielkim wstrząsem była dla nas podana w prasie wiadomość o tragicznej śmierci Janiny Kraków 7 marca 1935 roku w Gdyni. Dopiero po latach dowiedziałam się, że od dawna ją wybrała w takiej formie, konsekwentnie nie odstępując od przekonań wyznawanych, kładąc zawsze znak równania między deklaracją a czynem.

Nie wiem, czy żyje ktoś z rodziny Janiny Krakówowej, ale zapewne są jeszcze osoby — i w Polsce i w Brazylii (jestem tego pewna co do kilku przynajmniej nazwisk, jak np. wspomniany tu pisarz Władysław Wójcik), które mogłyby spisać swoje wspomnienia z różnych okresów Jej życia. Pomogłoby to ustalić dokładnie datę urodzenia (ok. 1852), ślubu, wyjazdu do Paryża, bliższe szczegóły działalności we Francji i w Brazylii. Nazwisko pańskie Janiny Kraków brzmi: Wiśniewska lub Wiśniewska, daty niektóre podałam w tekście, daty urodzenia i śmierci jej męża, Stanisława Krakowa, to 1841 (lub 1845) i 1892 (zmarł w Paryżu). Zebranie tych wiadomości pozwoliłoby na napisanie dokładniejszego życiorysu, który mógłby być wykorzystany w Polskim Słowniku Biograficznym. Gorąco więc apeluję do wszystkich czytelników, aby powiadomili Redakcję, czy to o osobach, które posiadają jakiegokolwiek wiadomości o Janinie Kraków, czy też sami je posiadali.

Jednocześnie dziękuję serdecznie za pomoc i udzielone informacje: pani Irenie Harhalowej z Działu Informacyjno-Bibliograficznego Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. H. Łopacińskiego w Lublinie, pani Wandzie Papiewskiej, panu Gustawowi Trzczańskiemu z Warszawy, Zakładowi Informacji Naukowej Biblioteki Narodowej w Warszawie, Redakcji Polskiego Słownika Biograficznego w Krakowie.

Zofia Matyaszewska

Problemy trudności osiągnięcia

W Bilgoraju... Miasto, które w znanym piśmie sąsiaduje z Urugwajem tylko dla rytmu, miasto, które — wydaje się — leży na pustkowiu i nie wiadomo nawet, dlaczego właśnie tam. Ale Bilgoraj ma swoje problemy, ważne i mniej ważne, a pasjonujące środowisko kulturalne jego mieszkańców.

Ani słowa nie będzie tu o Powiatowym Domu Kultury, o dobrej, o ciekawej prowadzonej pracy środowiskowej, „opisanym” już ze wszystkich stron przez prasę lubelską. O jego naprawdę trudnych warunkach lokalowych. W tym pięknym budynku sąsiaduje PDK z Klubem, przedszkolem i biblioteką. A były możliwości dobrego rozwiązania, teraz już nie ma. Ktoś przepisał.

Będzie za to o bilgorajskim muzeum regionalnym, jakie jest i jakie być może. Zaczęła się ta sprawa w 1956 roku, kiedy to przy spółdzielni wosiłankarskiej stworzono punkt muzealny, na który złożyły się zbiory będące własnością p. Michała Pekalskiego. Z początku było wszystko dobrze. Ale po zmianie na stanowisku dyrektora Spółdzielni — dla muzeum zabrakło miejsca. Rzeczy powędrowały na strych, a teraz gabloty ze strojami regionalnymi stoją w jakimś biurze, a kilkanaście gablot ze znalezionej archeologicznych, zabytkami historycznymi i dziełami sztuki ludowej mieści się w świetlicy, z tym, że jeśli jest jakaś impreza, gabloty ze sceny muszą szukać innego miejsca. Nie więc dziwnego, że Spółdzielnia one zawiadają i że dyrekcja chce je ich pozbędzie.

Jakie jest wyjście? Władze powiatowe nie poczyniły żadnych kroków. Była propozycja, żeby muzeum zorganizować w Tarnogrodzie, w tamtejszym Domu Kultury. Ale od czegoż patriotyzm lokalny, przecież to byłaby obraza dla Bilgoraja. Poza tym ktoś by się fachowo tymi zbiorami zaopiekował?

A oto wyjście, którego wszyscy szukają. Pamiętacie Bilgoraj? Przy ulicy Kościuszki, u rozwidlenia na skrajnie jest ślicznie położony budynek, prawie całkowicie opuszczony. To dawna elektrownia, bo teraz prad jest ze Stalowej Woli. Miesiąc się tam jakieś biuro i chyba dwie rodziny prywatne, z których jedna już się wyprowadza. Budynek zaniedbany — wilgoć, bo dach przecieka, maszyny rozbrane, choć części jeszcze stoi. Myślę jednak, że po remoncie to pomieszczenie doskonale nada się na muzeum. Tegoz zdania jest wielu ludzi w Bilgoraju. Więcej! Ponieważ główna hala jest bardzo wysoka, można ją podzielić i otrzymać piętro. W ten sposób zmieszczyły się i tu i muzeum, i biblioteka, której też jest ogromnie ciasno.

Tylko kto się tym ma zająć? Lublin nie, ten może tylko pomóc. W Bilgoraju nikt się do tego nie kwapi (budynek jest podobno własnością instytucji, która ma siedzibę w Zamostcu). Ale może tak władze powiatowe na nowo zhadają tę sprawę? Remont i przebudowa budynku o wiele taniej będzie kosztować, niż budowa nowego i to w planie nie wiadomo którym.

T. K.

Renowność a upowszechnienie. (Problem obywatelskich kin). Kina obywatelskie docierające do najbardziej odległych wsi miały do spełnienia poważną rolę w dziedzinie upowszechnienia kultury. Taki był sens powoływania tych instytucji (placówek) na kółkach. Niestety, w chwili obecnej sens ten chyba w całym województwie lubelskim został zaprzeczony. To, co praktykuje się powszechnie (nie, wiem, czy w oficjalnych sprawozdaniach ujawniane), zakrawa co najmniej na nieporozumienie.

Otóż każdy, kto się zetknie z tym problemem na wsi, musi dojść do przekonania, że kierownicy (może i zarządy) kin obywatelskich nie liczą się wcale z wiejskim odbiorcą. Nie mówię tu już o tak skomplikowanej sprawie, jak dobór filmów pod względem fabularnym i problemowym najbardziej odpowiadających wiejskiemu środowisku. Na to trzeba by chyba specjalnego przygotowania. Chodzi mi o rzecz bardziej prostą, tj. o wyświetlanie przez te kina dwu filmów w czasie jednego przyjazdu.

Nie byłoby to może i źle, gdyby nie konieczność przymusowego oglądania dwu filmów przez tych samych widzów. Wskazanie do siedzenia (często i stanła) na obydwu wyświetlanych bezpośrednio po sobie filmach nikt nie zmusza, ale przymus taki stwarza się pobierając opłatę z góry za obydwie seanse. Wiadomo, że chłop jeśli odda pieniądze na film 8 zł, to musi wysiedzieć do końca. Efekt jest taki, że ludzie, często solidnie zmęczeni w ciągu dnia fizyczną pracą, nie wytrzymują tej „końskiej dawki kultury”. Po prostu zasypiają w trakcie trwania drugiego filmu lub ze zmęczenia prawie nie odbierają programu.

Na jednym z zebrań, gdy zabrałem głos na ten temat, poinformowałem mnie, że kina obywatelskie są zmuszone do stosowania uprzednio opisanego zasady, gdyż mają „do wyrobienia plan dochodów”. Z tego samego źródła dowiedziałem się, że do każdego kina obywatelskiego dokłada się rocznie przeszło sto tysięcy złotych. Ujawnia się tu chyba cały solot nieporozumienie. Z jednej strony toż się poważne dotacje uważając (zresztą słusznie), że kino w małym środowisku wiejskim nie może być rentowne, z drugiej zaś strony wygórowany plan dochodów własnych przekreśla prawie w zupełności cel, któremu kina obywatelskie miały służyć. Czyż można bowiem mówić o kulturalnej rozrywce, kiedy na samą myśl, że trzeba stać cztery godziny w zimnej sali remizy strażackiej, przecież skóra cierpnie.

Notatki te dedykuję pod rozważę Okręgowemu Zarządowi Kin.

J. Z.

Powiatowa Poradnia Pracy K. O. w Opolu. O pracy kulturalno-oświatowej w powiecie opolskim bardzo niewiele się pisze. W samym Opolu Lubelskim nie ma powiatowego domu kultury, a jedyna sala widowiskowa mieszcząca się w baraku wykorzystywana jest zarówno na wszelkiego rodzaju miejscowe i przyjezdne imprezy artystyczne, jak i na sesje, kursy i seminaria organizowane przez Powiatową Radę Narodową i organizacje społeczne. Barak leżący na krańcu miasta ze względu na to, że stanowi jedyny przybytek kultury, bowiem mieści się w nim biblioteka powiatowa i ognisko muzyczne, nazywany jest w Opolu „Domem Kultury”. Oczywiście wobec trudnych warunków lokalowych nie może tu być mowy o szerokiej pracy ze środowiskiem. Dobrze się więc stało, że ostatnio zabrano się do organizowania przy Domu Kultury Powiatowej Poradni Pracy Kulturalno-Oświatowej. W chwili obecnej działa już przy Poradni komisja repertuarowa. Zebrano tu również nieco kostiumów teatralnych i ludowych. O istnieniu komisji i poradni zostały powiadomione wszystkie

szkoły, zespoły artystyczne i kółka organizacji społecznych działające na wsi. W porozumieniu z PDK w Puławach zorganizowano seminaria dla kierowników zespołów teatralnych i tanecznych. W chwili obecnej jeszcze niewielu kierowników jedździ do Puław, ale Powiatowy Oddział Kultury i Inspektorat Oświaty w Opolu zobowiązały wszystkich nauczycieli i kierowników świetlic prowadzących zespoły artystyczne do obowiązkowego uczestniczenia w seminariach. Na koniec stycznia planuje się wspólnie z Powiatowym Oddziałem Kultury i Wojewódzką Poradnią Pracy Kulturalno-Oświatowej zorganizować konferencję wszystkich kierowników zespołów artystycznych. Na konferencji tej zostaną omówione wszystkie aktualne sprawy dotyczące pracy zespołów amatorskich w powiecie opolskim. Przy okazji konferencji zostanie urządzona wystawka repertuarowa i kostiumów teatralnych.

Należy spodziewać się, że w roku 1961 Powiatowa Poradnia Pracy Kulturalno-Oświatowej w Opolu Lubelskim rozwinięta żywa działalność, niosąc pomoc poprzez swych konsultantów zespołom pracującym w terenie.

J. Z.

Karczewska. We wsi Karczewska w powiecie opolskim bardzo aktywna działalność prowadzi świetlica gromadzka. Poza rozwiniętym czytelnictwem prasy i książek, w świetlicy skupia się praca zespołu teatralnego i recytatorskiego. Istniejący od 6 lat zespół teatralny, prowadzony przez rozmiłowanego w krzewieniu kultury i oświaty Zygmunta Czarneckiego, cieszy się we wsł i okolicznych gromadach dobrą opinią. Popularność i powodzenie zapewniają dobrze przygotowane przedstawienia. Przeciętnie zespół daje 10 spektakli jednej sztuki. Zeliminacji wojewódzkiej, w zasadzie nie jest to odredny zespół, jeśli chodzi o skład osobowy; w pracach zespołu uczestniczą członkowie grupy teatralnej. Podkreślić należy czynną postawę nauczycielstwa Karczewska, które w pracy świetlicy kieruje aktywny udział Kierownik szkoły — ob. Józef Biale, urodzony społecznik, jak mawiała tutaj — mimo podeszłego wieku i nawalną pracę w szkole, zawsze znajdzie czas na rozmowę

z młodzieżą, pomoc, poradę, kierując jej energię na tory kulturalnej rozrywki i pracy wychowawczej. Przez pewien czas kierował pracą zespołów, obecnie dużo czasu i uwagi poświęca pracom związanym z zakończeniem budowy wiejskiego domu kultury. Z jego inicjatywy ob. Wanda Grodecka — nauczycielka, prowadzi problemowy kurs robót kobiecych, dokształcanie osób, które nie ukończyły 7 klas oraz kilka zainteresowań z młodzieżą szkolną. Wskazując zajęć i imprez, przeprowadza się — jak wspominałem — w świetlicy, która w życiu wsi stała się miejscem rozrywki, nauki i przybytkiem kultury. Świetlica została wyróżniona jako jedna z najlepszych w województwie. Otrzymała szereg nagród (radio, adapter) oraz propozycję przechołni Ministerstwa Kultury i Sztuki, a jej kierownik Zygmunta Czarnecki odznaczony został Brązowym Krzyżem Zasługi.

Gromadzka świetlica w Kowali — powstała kilka lat temu. Zanim jednak do tego doszło, trzeba było przedsięwziąć wiele akcji i włożyć dużo wysiłku. Zaczęto od założenia Kółka Rolniczego, zespołów wypalania cegły, kursów Kółka Gospodyń Wiejskich. A że pracą tą kierowali nauczyciele, skupiała się ona w szkole. Zorganizowano kilka przedstawień, wspólnych wieczorów towarzyskich, w końcu wydzielono dwa kąty w sali lekcyjnej na świetlicę. Zakupiono sprzęt świetlicowy (warcaby, szachy, ping-pong), zaprenumerowano kilka dzienników i tygodników i rozpoczęto systematyczną pracę. Oprócz działalności rozrywkowej, praca w świetlicy postępuje w kierunku oświatowym. Przez całą zimę w ubiegłym roku kierownik szkoły i świetlicy, Franciszek Karaś, prowadził popularne kursy historyczne, które miały zapewnioną frekwencję przeważnie osób starszych. Z dużym zainteresowaniem spotkali się „wykłady pszczałarskie”, ścigające znów przede wszystkim młodzież. Kółko Gospodyń Wiejskich organizuje systematycznie różnego rodzaju kursy: szycia, pieczenia gotowania, masarskie.

P. G.

MAMONA I MELPOMENA

tury WRN. Podobnie jeżeli chodzi o Lubelski Dom Kultury. Finansuje miasto, zarządza województwo. Majdankowi milion „z hakiem” asygnuje kasa miejska, o sposobie wydatkowania decyduje aż jedno z ministerstw. Ba — miasto dopłaca 300 tys. zł do jednego z internatów, chociaż nie ma w nim ani jednego dziecka z Lublina.

Wbrew pozorom nie są to tylko sprawy buchalteryjne. Pomiedzy Wydziałami Kultury WRN i MRN powstają bowiem nie tylko żale i kwasy, ale także coraz częściej zatargi kompetencyjne, a nieraz i prestiżowe. Z oczywistą szkodą dla samej działalności kulturalnej — zarówno twórczej, jak i upowszechniającej. I chyba nie będę daleki od prawdy twierdząc, że to właśnie jest jednym z powodów, iż Lublin w ciągu 16 lat niepodległości

jako jedyne miasto wojewódzkie w Polsce nie otrzymał żadnej większej inwestycji kulturalnej. Nie licząc oczywiście Domu Kultury Kolejarskiego, wybudowanego we własnym zakresie przez kolejarzy.

Już w czasach szkolnych podejrzewałem, że kapitalny pomysł Aleksandra Macedońskiego przy rozplątywaniu węzła gordyjskiego był raczej wynalazkiem jego balwochwalców. I dlatego nie mam zamiaru naśladować pomysłu. Po prostu nie wiem, jak rozstrzygnąć ten spór kompetencyjny pomiedzy dwoma Wydziałami Kultury. Ale jedno jest pewne: stan obecny nie może być utrzymywany. Trzeba dokonać jasnego rozdziału tych kompetencji. Chodzi tu zresztą nie tylko o kompetencje formalne. Rzecz w tym, że w obecnej sytuacji niezwykle łatwo zarówno jednej, jak i drugiej stronie wszelką odpowiedzialność zrzucić na drugą, a gratulacje i uznanie — to zresztą znacznie rzadziej — zebrać za drugą stronę. A jedno i drugie na pewno nie jest w porządku.

Uregulowanie tych spraw nie będzie łatwe. Różnie bowiem można ro-

zumować. Np.: jeżeli kino „Wyzwolenie” podlega WRN, to dlaczego ma być inaczej z operetką? Albo, jeżeli LDK podlega WRN, to dlaczego nie świetlica w jakiejś zapadłej wsi? To przecież tylko kwestia proporcji i ośrodka kultury i środowiska, w którym on się znajduje. Ale można i inaczej: „Wyzwolenie” nikt z Lublina na plecach nie wyniesie, operetka może wyjechać. Ale każdy wyjazd w województwo to korzystanie z mniejszej sali, a więc zmniejszenie wpływów. Korzyść kulturalną odniesie np. Zamość, ale dlaczego do tego ma dopłacać Lublin? Podobnych rozbieżności można by wyliczyć dziesiątki. Wszystko zależy od punktu widzenia. I dlatego należy przede wszystkim uzgodnić właśnie owe punkty widzenia. Chyba najłatwiej i najbardziej autorytatywnie można byłoby to zrobić na wspólnym posiedzeniu Prezydium WRN i MRN w Lublinie. A może i innych miast, zwłaszcza Chełma, Zamościa i Puław. Bo to nie tylko sprawy prestiżowe, nieumiejętności czy niechęci do „dogadania się”. Chyba także prak-

tycznego zrealizowania zasady decentralizacji. Tzw. eksperyment chełmski wykazuje, że chyba w najbardziej drażliwych sprawach podatkowych można z powodzeniem pójść bardzo daleko. A dlaczego w kulturze zatrzymano się zbyt wcześnie?

Przy okazji warto byłoby zająć się bliżej analizą budżetów na cele kulturalne. Dodajmy tu jeszcze, że Lublin — który ma i ambicje i możliwości stania się miastem o charakterze ponadwojewódzkim — na inwestycje kulturalne na rok 1961 przeznaczyl zaledwie pół miliona zł. Chyba tylko dlatego, aby w pozycji planu inwestycyjnego „wydatki na kulturę” było w ogóle coś wpisane. Dziewięć razy mniej niż otrzymał sport, który przecież ponadto otrzymuje miliony z kieszeni zawiedzionych w toto-lotku graczy.

Nie zazdroścę sportowcom. Ale porównanie jest chyba żenujące. Niestety dla kultury. A dla administracji zajmującej się sprawami kultury — jeszcze bardziej.

Jerzy Dostatni

ARRASY W LUBLINIE



(Dokończenie ze str. 8)

krajobrazu leśnego stanowią ich tematykę, będącą wyrazem myślowych zamierzeń króla.

Historia 4 arrasów jagiellońskich jest również ciekawa jak przeszłość arrasów zwróconych nam przez Kanadę. W ciągu czterech wieków istnienia przechodziły one burzliwe koleje losu. Do roku 1939 znajdowały się na Zamku Warszawskim, skąd podczas pożaru zostały skradzione. Wykupione następnie z rąk nielegalnego posiadacza — przetrwały wojnę ukryte w Muzeum Narodowym w Warszawie.

Dobrze zachowane do dziś arrasy jagiellońskie są wybitnym świadectwem wysokiego poziomu kultury artystycznej polskiego renesansu.

Wystawa w Muzeum Lubelskim, wywołująca zrozumiałe zainteresowanie społeczeństwa naszego miasta, jest nie tylko wydarzeniem artystycznym wielkiej miary. Ma ona jeszcze jeden aspekt, nazwałabym go „lubelskim”, tutaj bowiem na Ziemi Lubelskiej, trasa wślana z Sandomierza do Kazimierza odbywał jeden z etapów wojennej wędrówki skarby narodowe, a wśród nich kolekcja arrasów wawelskich, od dziś będących znów naszą własnością i naszą chlubą.

Irena Iskrzycka

(Dokończenie ze str. 2)

szej połowie br. wprowadzą nowe metody pracy, zgodnie z zaleceniem władz centralnych.

Wszystkie te poczynania nie rozwiązują jednak całokształtu zagadnienia wzrostu produkcji w rozmiarach przewidzianych w bieżącej 5-letce. Stąd „powszechna mobilizacja” — jeśli można użyć określenia z terminologii wojskowej — inżynierów i techników do podniesienia stanu technicznego zakładów przemysłowych, udoskonalenia procesu technologicznego, oszczędnego gospodarowania surowcami m.in. przez wprowadzenie tworzyw sztucznych zamiast drogich metali itp.

Wezwanie skierowane do inteligencji technicznej zostało podjęte także przez inżynierów i techników województwa

„Małe” czy żadne?

(Dokończenie ze str. 4)

nie możliwe największej ich ilości. Ale obok tej subiektywnej — dla wielu tysięcy ludzi — prawdy istnieje także prawda obiektywna: prawidłowo równomiernego polepszania wszystkich warunków życiowych. Bo, stawiając rzecz skrajnie, można by przecież udowodnić, że celem uzyskania większej liczby mieszkań nie należy budować jezdni i chodników, że zamiast doprowadzać wodę do każdego mieszkania — wystarczy zainstalować jeden wspólny kran na korytarzu. Nie wygodnie, ale przecież lepiej niż w zamieszkiwanych dotąd suterynach czy poddaszach.

Oczywiście nikt z takim projektem nie wystąpi. Odwrotnie — i dla estetyki dnia dzisiejszego, i celem uniknięcia strat w przyszłości kryjemy domy tynkami, nawet kolorowymi. Uprzejmniając ludziom życie sadzimy drzewa i kwiaty, ułatwiamy im życie, zakładamy telefony i zbiorowe anteny. Bo przecież nie samą powierzchnią mieszkaniową człowiek żyje. Zastanawiające jest tylko, że ograniczając na rzecz owej powierzchni także czy inne wydatki, całkowicie skreślamy i to konsekwentnie jedynie wydatki — na kulturę. Jakos nikt dotąd nie robi o to alarmów, nikt się nie kłóci, nikt nie uzasadnia, nikt nie wymachuje wciąż obowiązującym zarządzeniem, nikt nikogo nie karze za zaniedbania. A doprawdy — szkoda.

Szkoda, bo owe rzekomo „małe” inwestycje mają do spełnienia wcale nie małe zadania. Nie chodzi o tworzenie na silę pseudoamatorskich zespołów tanecznych czy muzycznych, sprowadzanie artystów pierwszej wielkości. Dobra biblioteka, czytelnia z szerokim wachlarzem czasopism, dobry film w kameralnej salce, popularna prelekcja literata czy architekta, turniej pingpongowy, szachy, konkurs piosenki, brydż i czarna kawa, telewizor — to przecież niektóre tylko formy działalności. Formy być może małe, ale łączne wyniki na pewno duże.

Wydaje się, że zaniechanie „małych” inwestycji kulturalnych nie jest ani rzeczą przypadkową, ani zapomnieniem. Ale to chyba problem sam w sobie, który warto omówić osobno.

J. D.

PROBLEMY TECHNICZNE LUBELSKIEGO PRZEMYSŁU

lubelskiego, którzy na Kongres Techników Polskich przywieźli sporo postulatów i wniosków będących wynikiem szczegółowej analizy sytuacji w lubelskich zakładach przemysłowych.

Niezmiernie palącym problemem jest umocnienie roli technika w realizacji rozwoju postępu technicznego. Cel ten można osiągnąć przez stworzenie dla inżynierów i techników sprzyjających warunków (w sensie zainteresowania materialnego) do systematycznego dokształcania się. Dotychczas bowiem płace kształtowały się w ten sposób, że pracownicy nie byli zainteresowani w zdobywaniu wyższych kwalifikacji i otrzymywaniu awansów, gdyż w wielu wypadkach mistrz lub kierownik działu otrzymywał niższe pobory od robotników zatrudnionych przy maszynach.

Obok tzw. bodźców materialnych warunkiem systematycznego podnoszenia kwalifikacji i kształcenia kadry technicznej jest powołanie w Lublinie dziennej szkoły inżynierskiej z wydziałami: mechanicznym, budowlanym i elektrycznym. Fachowców w tych dziedzinach przemysł i budownictwo województwa lubelskiego odczuwa poważny brak.

Bardzo istotną sprawą jest także współpraca przedsiębiorstw przemysłowych z instytutami naukowo-technicznymi. Szczególnie wiele mają tu do zrobienia lubelscy inżynierowie i technicy. Ilość, stan oraz wyposażenie zakładowych placówek konstrukcyjnych daleko odbiegają od istotnych potrzeb. Poza kilkoma wielkimi zakładami, przemysł lubelski nie dysponuje praktycznie rzecz biorąc — laboratoriami badawczymi oraz odpowiednimi warsztatami, niezbędnymi do wykonywania tzw. prototypów. Bez tego zaś nie do pomyślenia jest w obecnej dobie jakaś twórcza praca konstruktora lub technologa. Toteż tym większy podziw muszą budzić nasi inżynierowie, którzy w tak niedoskonałych warunkach uzyskują świetne wyniki, by wymienić popularny samochód „Żuk” — chlubę FSC, nową młocarnię produkcji LFMR — pewnego rodzaju rewelację w sensie konstrukcyjnym, wyroby Lubelskich Fabryk Wag, WSK Świdnik, KFWM, ZWSI i wielu mniejszych zakładów.

Niezmiernie istotnym problemem dla zapewnienia prawidłowego toku produkcji w przemyśle jest kwestia kooperacji. Inne województwa, jak np. wrocławskie, mają odpowiednie komórki przy WRN, czuwające nad właściwym rozwojem współpracy między poszczególnymi przedsiębiorstwami. Brak tego rodzaju placówki w województwie lubelskim odczuwają nasze zakłady bardzo dotkliwie. Np. wszelkiej gumowe do samochodu FSC „Żuk” — produkuje już czwarty zakład. Każda zaś zmiana rodzaju produkcji pociąga przecież za sobą poważne wydatki na wykonanie odpowiednich narzędzi, wymaga pewnego czasu niezbędego do opanowania przez załogę nowego procesu technologicznego itp. W rezultacie

każda zmiana zakładu kooperującego dezorganizuje pracę.

Zasygnalizowane w niniejszym artykule problemy nie rozwiązują całokształtu zagadnienia: są one jednak z punktu widzenia interesów społecznych najbardziej istotne.

Na zakończenie pozwolę sobie zacytować charakterystyczny fragment z tez przedstawionych przez lubelskich delegatów na Kongresie Techników Polskich we Wrocławiu:

„Mówiąc o postępie technicznym myślimy najczęściej o wielkich kombinatach przemysłowych, wyposażonych w super nowoczesne i wysoko sprawne agregaty, linie automatyczne, urządzenia elektroniczne i izotopowe oraz wiele innych osiągnięć nowoczesnej nauki i techniki oddanych w służbę człowiekowi.

W tym skądinąd zdrowym entuzjazmie i podziwie dla wielkiej techniki, często nawet podświadomie rodzącym się w naszym umyśle, a będącym naturalnym zjawiskiem dążenia społeczeństwa do coraz pełniejszego i wszechstronniejszego zaspokajania potrzeb materialnych i kulturalnych, — nie możemy zapominać, że droga do osiągnięcia takiego poziomu jest niezmiernie trudna i prowadzi wyłącznie przez ewolucyjny i równoległy rozwój nauki i techniki oraz kultury całego społeczeństwa. Nie możemy zapominać, że wielka technika nie rodzi się sama z siebie, wymaga ona dla swojego rozwoju przede wszystkim aktywnego stosunku do spraw nauki i techniki całego społeczeństwa i wysoce sprzyjających warunków ekonomicznych oraz pewnego okresu czasu do jej opanowania i przyswojenia przez gospodarkę narodową”.

Józef Lis

PISARZE POLSCY O LWIE TOŁSTOJU

(Dokończenie ze str. 5)

musiał wzbudzić nienawiść i narobić sobie wrogów. Ale nieporównanie większa i lepsza część serc rosyjskich nie odstąpi go nigdy, a wraz z nimi staną po jego stronie wszystkie szlachetniejsze umysły świata. I tak być powinno, ponieważ jest to, bądź co bądź, nie tylko wielki pisarz, ale głosiciel wolności, wielki obrońca uciśnionych i potężny rzecznik ogólnoludzkich ideałów.

Zakończenie artykułu brzmi prawie jak prooroctwo:

Rosja, jeżeli nie zechce pozostać takim państwem, jakim była dotychczas, ani stać się wcieleniem tołstojowskiej idylli, powinna szukać jakiejś trzeciej, całkiem nowej drogi przyszłości — lecz zarazem powinna czcić głęboko swego olbrzyma.

Te wypowiedzi naszych pisarzy świadczą o ich głębokim kulcie dla Lwa Tołstoja jako dla genialnego artysty, który poszukiwał nieustannie dróg naprawy życia i jako dla człowieka, który miał odwagę żyć i działać według zasad, jakie propagował.*)

Regina Gerlecka

*) Poza tym artykuł o Lwie Tołstoju zamieściliśmy w setną rocznicę jego śmierci (vide — Maria Bechczye-Rudnicka „Tragiczne kontrasty”, „Kamena” nr 22 z 15.XI.60 r.).

WIELKA KARIERA

ZBIGNIEW BIEGAŃSKI

TRAGIHUMORESKA

— Rokuję ci wielką karierę — powiedział mi mój profesor w szkole podstawowej, po czym umarł.

Te jego słowa zaważyły na moim dalszym życiu. Dowiedziałem się bowiem, że czeka mnie wielka kariera, nie dowiedziałem się natomiast (gdyż profesor nie zdążył dodać) — w jakiej dziedzinie.

Przystąpiłem więc do prób. Byłem tym i owym. Czym się dało, byle tylko spróbować i przekonać się, czy tak, czy nie. Te próby dostarczały mi jednak samych rozczarowań. Czegokolwiek się imałem, już po kilku dniach odczuwałem, że to nie to.

W końcu nie było już prawie zawodu, którego bym nie spróbował. Byłem: adwokatem, lekarzem, aktorem, śpiewakiem, bokserem, akrobatą, prezesem spółdzielni — ale, w żadnej z tych dziedzin nie odniosłem spodziewanych sukcesów. Nie wybiłem się ani na centymetr ponad szarą, przytłaczającą przeciętność.

Byłem zrozpaczony i zacząłem najpierw po cichu, a potem już całkiem na głos przeklinać mojego profesora, wyrzucać mu, że wprowadził mnie w błąd i złamał mi życie.

A kiedy już jak najbardziej siarczyście poprzeklinałem mego wychowawcę — pewnej nocy zjawił mi się we śnie. Początkowo nie mówił, przyglądał mi się uważnie, a w oczach jego wyczytałem niemy wyrzut. Potem pokławił przez chwilę głową z politowaniem i odniósł smutny wyraz, że mi współczuje. Wreszcie przemówił:

— Kochasiu! Wyglupiasz się, chwytasz się różnych niepoważnych zajęć, zamiast kroczyć pewnie i wytrwale jedną, jasno wytyczoną drogą, z której zbaczasz ani na krok nie powiniesz, a która doprowadzi cię do celu, który aczkolwiek jeszcze daleki — metą twych dążeń być powinien, a jedyną przyjemnością skracanie odległości, dzielącej cię od niego...

Tu mój profesor uczynił pauzę, jak rutynowany aktor, który chce spotęgować wrażenie do maksimum, zanim wypowie najważniejszą w sztuce kwestię.

I wtedy ja się niestety obudziłem. Była godzina piąta rano. Nigdy się o tej porze nie budzę. Przeciwnie, śpię jak suseł aż do siódmej rano, ale tej nocy tak się zdarzyło, a więc cóż by to być mogło, jeśli nie zrzucenie losu?..

Przez cały dzień chodziłem jak błędny. Staralem się nawiązać ponowny kontakt z moim profesorem. Uciałem po południu drzemkę, ale nadaremnie. Śniły mi się dzikie świny. Profesor zniknął z moich snów jak kamfora. Męczyłem się tak blisko miesiąc. Tuż przed zaśnięciem nawolwałem, wtuliwszy głowę w poduszkę:

— Proffesoosorzee, przyyyjdź!.. Nie opuszczaj mnie. Dokończ twojej przepowiedni. Wyjaw mi kim będę!

Daremne były moje zaklęcia. Śniły mi się wszystkie możliwe i bezsensowne rzeczy: przepełnione tramwaje, wyścigi psów w Anglii, zachody słońca nad zatoką, cyrk pcheł, katastrofa karawanu pogrzebowego, oszalały dentysta i jego nieszczęsna małżonka, ba, nawet ja sam się sobie śniłem i to na dobitkę zmieniony przez niedobrą wróżkę w tasiekę od kalesonów.

Wreszcie profesor zlitował się nade mną i po miesiącu męczarni ukazał mi się znowu we śnie. Był spokojny jak zwykle, zrównoważony.

— Zostań kochasiu, nauczycielem, tak jak ja... — powiedział po prostu i znowu zniknął, a ja obudziłem się, zlany potem, o godzinie czwartej nad ranem.

Posłuchałem jego rady. Zostałem nauczycielem. Jestem teraz już nawet dyrektorem szkoły podstawowej.

— Tylko gdzie ta kariera?.. — pytam się. Ale na to pytanie mój profesor nie może udzielić mi odpowiedzi we śnie z tej prostej przyczyny, że ja ostatnio w ogóle nie śpiam. Poprawiam nocami klasówki i nie mam czasu na robienie kariery.

A może na tym właśnie polega kariera nauczyciela, że nie ma czasu na głupstwa?

13 stycznia 1961 w cyklu odczytów „Lublin 960-1960” dr Maria Stankowa mówiła w Klubie „Nora” o dziejach Lublina w XVII wieku.

22.I w salach wystawowych CBWA otwarto doroczną wystawę prac członków lubelskiego oddziału ZPAP z zakresu architektury wnętrz, malarstwa, grafiki i rzeźby.

26.I ad. Jerzy Reder (UMCS) wygłosił odczyt o znaczeniu Lublina w cyklu „Lublin 960-1960”.

27.I w koncercie symfonicznym, który prowadził Andrzej Cwojdzinski, wystąpiła pianistka japońska Kyoko Tanaka (II koncert fortepianowy Saint-Saens).

W Państwowym Teatrze Lalki i Aktora odbyła się (29.I) premiera „Baśni o pięknej Paryżadzie” Bolesława Leśmiana w adaptacji Natalii Gołubskiej.

28. 29.I 30.I występował w Lublinie Państwowy Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk” pod dyrekcją Stanisława Hadyny.

31.I Państwowa Operetka zaczęła wystawiać „Bajadere” E. Kalinana.

2.II Duże zainteresowanie wzbudziła kolejna prelekcja mgr inż. Henryka Gawareckiego o sztuce i architekturze renesansu i baroku w Lublinie (z cyklu „Lublin 960-1960” w Klubie „Nora”).

3.I 5.II w koncertach symfonicznych wystąpił skrzypek rumuński Michał Constaninescu (Koncert skrzypcowy D-dur Brahmsa). Dyrygował A. Cwojdzinski.

4.II w salach Wojewódzkiego Ośrodka Propagandy Partyjnej udośćpiono Wystawę Radzieckiej Książki Rolniczej.

6.II na zaproszenie Towarzystwa Wiedzy Powszechnej przyjechała do Lublina Magdalena Samozwaniec. Dwa spotkania autor-

Diariusz kultury Lublina

skie — w sali konferencyjnej KW PZPR i w Klubie „Nora” — cieszyły się żywym zainteresowaniem publiczności.

W sali Teatru im. Osterwy wystąpił Państwowy Teatr Żydowski pod kierownictwem Idy Kamińskiej, z adaptacją sceniczną „Meira Ezołowicza” E. Orzechowej.

9.II kolejny odczyt z cyklu „Lublin 960-1960” dotyczył dziejów Lublina w ostatnich latach Rzeczypospolitej — prelegent mgr Władysław Cwik (UMCS).

10. 12.II w koncertach symfonicznych, którymi dyrygował Adam Kopyciński, wystąpił pianista prof. Zbigniew Szymonowicz (wykonał Koncert fortepianowy d-moll W. A. Mozarta).

Odbył się II Walny Zjazd członków lubelskiego oddziału Związku Teatrów i Chórów Ludowych (12.II).

13.II w Bibliotece im. Łopacińskiego zorganizowano przy współdziałaniu Zarządu Lubelskiego Oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich konkurs rysowniczy. I miejsce zdobył Zdzisław Bieleń.

16.II w Klubie „Nora” dr Roman Rosiak (UMCS) wygłosił odczyt z dziejów prasy lubelskiej (w cyklu „Lublin 960-1960”).

(m)

Ze starego Kazimierza



FOTO B. J. DORYS — DZIECI

NOTY

DWA TYGODNIKI JEDNOCZESNIE. „Przełęcz Kulturalny” (Bogumił Zaufal — nr 6) i „Życie Literackie” (Ryszard Kosiński nr 7) poruszyły sprawę architektury projektowanej w związku z rozbudową Zakopanego. Oczywiście, piszący te słowa jest tradycjonalistą holdującym zasadom Witkiewicza i Pawlikowskiego. Wprawdzie pocieszająco brzmi zdanie Zaufala: „Ambicją projektantów jest też wydobycie z nowego tworzywa tych wartości i tego charakteru, który wyróżniał budownictwo ludowe znajdujące się na Podiatru”, ale jakoś nie można się dopatrzeć tej ambicji w makiecie budynku pływalni na fotografii zamieszczonej w „Przełęcz Kulturalnym”. NOWA STRATA W LITERATURZE FRANCUSKIEJ. Zmarł Blaise Cendrars (ur. w r. 1887) jeden z najwybitniejszych poetów starszej generacji, podróżnik, uczestnik pierwszej wojny światowej, w której stracił rękę, autor m. in. „Legendy nowogrodzkiej”, „Prozy kolei Transyberyjskiej”, „Panamy” i „Kodaku”. Już same tytuły jego książek, do których dodajmy jeszcze charakterystyczny „Du Monde entier”, świadczą, jaką rolę w jego twórczości odegrały podróże. POEZJA SŁOWIAŃSKA W PRZEKŁADACH. „Iskry” wydały niedawno antologię poezji jugosłowiańskiej, a „Śląsk” — litwickiej. „Dwa wieki poezji rosyjskiej” doczekały się już trzech edycji. Ukazała się antologia poezji radzieckiej. „Stu trzydziestu portów” gdzie m. in. mamy Ukrainę i Białorusinów. W celofanowej bibliotece PIW jest Lermontow, Tułczew, Blok, Briusow, Jesienin, Tichonow. Ale na próżno rozglądamy się za antologią poezji czeskiej i słowackiej czy choćby za zbiórkami pojedynczych portów (wyłątek S. K. Neumann). W 16 roku Polskiej Ludowej, gdzie wydano miliony książek. A to nasi sąsiedzi o miedzę.

ZMAREK JAKUB KOHEN, jeden z największych współczesnych dzyrków izraelskich. Urodził się w r. 1881 w... Słucku.

KRYMINAL W KRYMINALE. Tytuł: „Morderstwo z grzeczności”, autor: Jiří Sztel. Tłumacz: Rudolf Janiczek (może Czech?). Wydawnictwo: „Śląsk”. Nawet niezły kryminal. Tytuł, że przetłumaczony na język czesko-galicyjsko-polski. Już na wstępie czytamy: „mszyca pełzająca zniszczyć plony”. Co chwila ktoś „ubiera” — pas (str. 31), część garderoby (34), kombinację (61), pończochy (99), „wyznaje się” na czymś (110, 138, 161), musi „zaglądnąć” (115) albo „ogładnąć” (119, 182), „wartać” (162) lub „zapodawać” (35). Coś jest „wykluczone” (61), ktoś „nie śmie” zapomnieć (81), krowa „muczy” (156), „miliła” kawę (99). Są i rusycyzmy: oczywiście kochane „za wylątkiem” (24, 63, 77), „w try miga” (! — 41), „tożsamość której” (144). Przy porównaniach stale „jak” zamiast „ni”: „więcej jak” (57, 111); „większa jak” (97), „gorszy jak” (136). No i nie wiadomo czemu na str. 80 dwukrotnie „cieńki”. Chyba starczy, choć to z pewnością nie wszystko.

ZE ZDUMIENIEM dowiedzieliśmy się od p. Krzysztofa Janickiego („Sztandar Ludu — Kultura i Życie” z dn. 12 lutego), że tom wierszy Stefana Wojskiego „Szedłem trdy” ukazał się nakładem Lubelskiej Spółdzielni Wydawniczej. A myśmy dotychczas sądzili, że wydała go „Kamena” w serii biblioteki poetyckiej.

ZLITUJcie się nad Dzieckiem! Słusznie „Kurier Lubelski” w nr-ze z dn. 12 lutego poruszył sprawę obiedziania przez Małgosię Piekarską (odtwórczynię głównej roli w „Awanturze o Basie”) różnych estrad w naszym województwie „na wabika” imprez, w których zasadniczo biorą udział dorosli artyści. Jak rodzice tego dziecka mogą na to pozwolić? Małgosię manieruje się, przewraca się jej w głowie i nie może się normalnie uczyć. No i chyba takie podróże i wieczorne występy nie wpływają dobrze na jej zdrowie.

-kaj-

KSIĄŻKI NADESLANE

Hanna Malkowska — Wspomnienia z „Reduty”, PIW, Warszawa 1960.
Sergiej Siergiejew-Censki — Topiel, przełożył Jerzy Brzeczowski, PIW, Warszawa 1960.
Wolter — Księżniczka Babilonu, przełożył Julian Rogoziński, PIW, Warszawa 1960.
Ryszard Łaskowski — Po tamtej stronie życia, Lubelska Spółdzielnia Wydawnicza, Lublin 1960.
Leon Kruczkowski — Pierwszy dzień wolności (sztuka w 3 aktach), PIW, Warszawa 1960, wyd. I.
Anna Kamińska — W oku ptaka (poezje), PIW, Warszawa 1960, wyd. I.
Benjamin Franklin — Żywot własny, przełożył Julian Stawiński, PIW, Warszawa 1960, wyd. I.
Jerzy Żulawski — Eseje, PIW, Warszawa 1960, wyd. I.
St. Makowski i Zbigniew Suchodolski — W kręgu bliskiego poety (listy rodziny Juliusza Słowackiego), PIW, Warszawa 1960, wyd. I.
Frantisek Kožík — Największy z pierro-

tów, przełożyła Maria Erhardtowa, PIW, Warszawa 1960, wyd. I.
Bertold Brecht — Powieść za trzy grosze, przełożył Marek Tarnowski, wiersze — Władysław Broniewski, PIW, Warszawa 1960, wyd. I.
Bożorg Alavi — Kraj róż i słowików, przełożyła Stefania Jarząbek i Zenon Szczygielski, PIW, Warszawa 1960, wyd. I.
Uriel Acosta — Żywot własny, przełożył Karol Dreschner, PIW, Warszawa 1960, wyd. I.
Emil Zola — Bestia ludzka, przełożył Kazimierz Kosobudzki, PIW, Warszawa 1960.
Dymitr Mamin-Sybirsk — Milionowy spadek, przełożyła Zofia Korczak-Zawadzka, PIW, Warszawa 1960, wyd. I.
Ascanio Condioli — Żywot Michała Anioła, przełożył Władysław Jabłonowski, PIW, Warszawa 1960, wyd. I.
Artur Międzyrzeczki — Noc darowana, PIW, Warszawa 1960.

Rysunek na str. 7
Jerzy Moszyński

Dwutygodnik społeczno-kulturalny „Kamena” • Redaguje Kolegium • Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich • Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 1c • Telefon: 36-45 • Redakcja rękopisów nie odsyła • Warunki prenumeraty: kwart. z 12, półrocznie z 24, rocznie z 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu”, zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu”. Prenumerata przyjmowana jest od 16 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywa się przedpłaty. Prenumerata za granicę: kwartalnie z 16,80; półrocznie z 36,40; rocznie z 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje P. K. W. Z. „Ruch”, Warszawa, ul. Wilcza 46, Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch” Lublin, nr konta PKO Lublin 2-6-544. Lubelska Drukarnia Prasowa — Unicka 4. Zam. 801. 18.II.61. Nakład 1000 — 71/W-3.